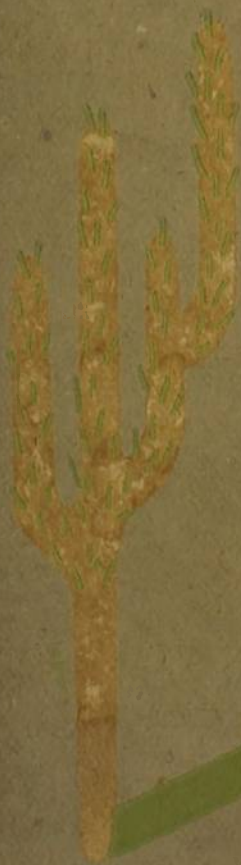


GRACILIANO RAMOS

ZWIĘDKI ŻYCIE



CZYTELNIK

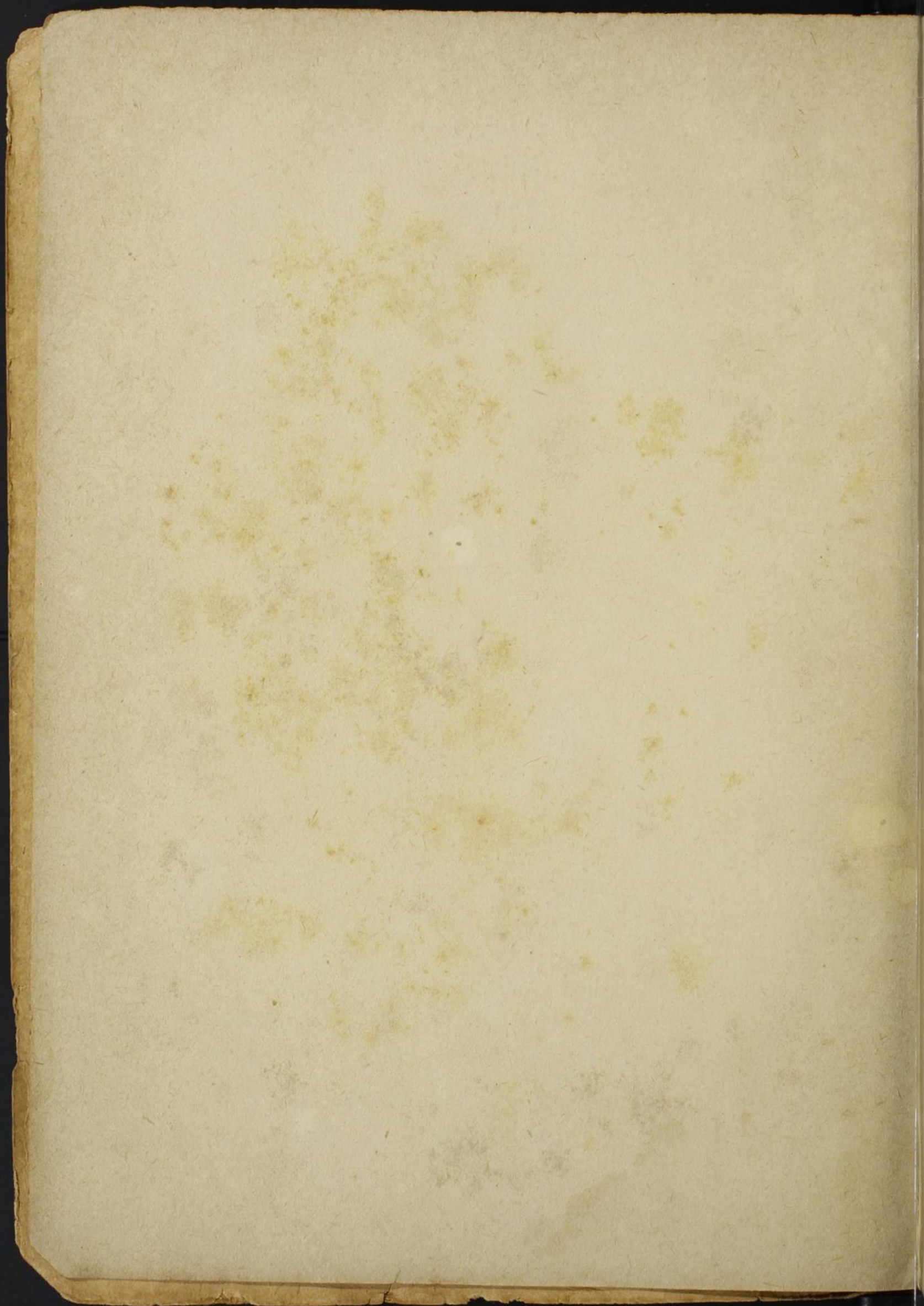
Le ne fay rien
sans
Gayeté

(Montaigne, Des livres)

Ex Libris
José Mindlin



RAMOS
ZWIĘDŁE ŻYCIE



G R A C I L I A N O R A M O S

ZWIĘDŁE ŻYCIE



1 9 5 0

• C Z Y T E L N I K •

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA

TYTUŁ ORYGINAŁU:

VIDAS SECAS

TŁUMACZYŁA Z JEZ. PORTUGALSKIEGO:

JANINA WRZOSKOWA

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ:

ANDRZEJ HEIDRICH

Złożono i odbito w Drukarni Nr 9

Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“

Katowice, 3 Maja 12

Nakład 10.350 egz., papier dziel.-żeb. 61 X 86 cm, 80 g., klasa V

Zamówienie 3427 / 20.9.50. R-1-1922 Druk ukończ. 29. 11. 50.

WSTĘP

Brazylia jest olbrzymim krajem, zajmującym obszar osiem i pół miliona kilometrów kwadratowych, co równa się prawie powierzchni całej Europy. Na tej wielkiej przestrzeni panują bardzo różnorodne warunki klimatyczne. Północno-wschodnie obszary co pewien czas bywają nawiedzane przez straszną suszę. Jest to żywiołowa klęska, na którą feudalno-kapitalistyczne państwo brazylijskie nie znalazło dotąd rady. Częściowe susze zjawiają się co 4—5 lat, a co 10—11 cały obszar objęty bywa tą klęską, do rozmiarów kataklizmu zaś dochodzi ona mniej więcej co 50 lat.

Tragiczny jest wówczas los mieszkańców tego obszaru — ludzi i zwierząt. W tym ponurym okresie, gdy słońce praży niemiłosiernie, a na czystym błękitnie nieba oczy darmo wypatrują choćby cienia obłoku, cała natura zmienia swe oblicze. Groza unosi się w powietrzu. Wszystko, co zasiane lub posadzone, marnieje i chłop musi opalać kolce kaktusów i ciąć ich łodygi na sieczkę, by przedłużyć życie wygłodzonemu bydłu, a i samo ono, wiedzione instynktem, kaleczy sobie pyski, wyszukując wśród kolców rosnących kaktusów te części rośliny, które zawierają w sobie trochę wilgoci, i tym przez chwilę zaspokajają głód i pragnienie. Ale to nie może trwać długo

i wreszcie nieszczęsne zwierzęta, złamane głodem, wycieńczone chorobami, zżerane przez pasożyty, padają jak muchy i giną, gęsto zaścielając swymi szkieletami podwórka zagród gospodarskich i „fazend“, a wkrótce cała powierzchnia obszaru nawiedzonego klęską suszy przedstawia jedno wielkie cmentarzysko, na którym kości ludzkie leżą po społu ze zwierzęcymi.

Zwierzęta dzikie również padają z głodu, jeśli w odpowiednim czasie, instynktem wyczuwając zbliżanie się klęski, nie ujdą przed nią, emigrując na południe. I nad całą tą opustoszałą z żywych istnień przestrzenią, skazaną na zagładę, unosi się tchnienie śmierci... Zgłodniały, wyczerpany, wychudły jak szkielet, zżarty chorobami, ulega człowiek żywiołowi i zaczyna swą męczeńską wędrówkę na południe z prawie pustymi torbami i z nadzieją — jakże często złudną — znalezienia lepszych miejsc, by przetrzymać okres suszy i powrócić, gdy deszcze obudzą znów do życia jego ojczyste strony. Masowe te wędrówki przedstawiają straszny widok.

Niektórym tułaczom udaje się osiąść gdzieś stosunkowo niedaleko w tym samym okręgu i ci „szczęśliwcy“ wracają po pewnym czasie do nędzy, z której wyszli. Innych los rzuca gdzieś na odległe plantacje i tam wiodą marny żywot najemnych robotników rolnych, tęsknią do miejsc rodzinnych i co rok planują, że powrócą. Ale chciwy plantator, by mieć tanie ręce robocze, chytrze oplątuje ich swymi mackami i trzyma mocno: w sklepie na plantacji, w którym robotnik musi się zaopatrywać we wszystko, stale na książeczce rachunkowej widnieje „winien“. I życia nie starcza, by dług ten spłacić.

Część pielgrzymów zatrzymuje się tam, gdzie może dostać jakiegokolwiek zatrudnienie, bodaj za nędzną strawę i marny dach nad głową. Ci, którzy dostają się do miasta, zwiększają liczbę bezrobotnych. Przymusowa wędrówka

w ucieczce przed suszą zawsze kończy się nędzą, a często — śmiercią.

Na obszarach dotkniętych suszą byt chłopu brazylijskiego jest tragiczny. Panują tu na odcinku gospodarki rolnej, jak zresztą jeszcze w całej prawie Brazylii, stosunki feudalne. Własność ziemską stanowią wielkie latyfundia, znajdujące się w rękach fazendeirów, którzy swymi posiadłościami władają w sposób wyraźnie feudalny. Nieliczni drobni właściciele uprawiają w małych ilościach, bo tylko na własne potrzeby, kukurydzę, czarną fasolę, maniok i dynię; gospodarstwa ich mają raczej charakter działek ogrodowych; zakłada się je na zalewowych brzegach rzek, stanowiących tam jedyny grunt, na którym coś może się urodzić. Są to jak gdyby oazy na pustyni.

Gospodarka wielkiej własności polega przeważnie na prymitywnej hodowli przeznaczonego na mięso i skóry bydła; pracę tę wykonują *vaqueiros*. Są oni całkowicie uzależnieni od swych panów i nie posiadają żadnej własności. Mieszkają w lepiankach skleconych z bambusu i gliny, odległych o wiele kilometrów od osiedli ludzkich, zdani tylko na samych sobie. Mają pod swoją pieczę pewną ilość bydła, żywią się zdobyczami z polowań i pło-
nami nędznych zagonków.

Na obszarach swych olbrzymich posiadłości fazendeirzy mają niejednokrotnie kilka domów mieszkalnych, które opuszczają kolejno, gdy susza dosięgnie danego regionu. Chłopa, który pracuje u nich na warunkach procentowej płatności pogłowiem bydłecym, pozostawiają własnemu losowi. I śmierć głodowa jest często wyzwoleniem z okrucieństwa klęski, która pędzi przed siebie tych pielgrzymów nędzy.

Autor niniejszego opowiadania, Graciliano Ramos, sam wyrósł w tej właśnie części Brazylii nawiedzanej

suszą, zna więc te warunki bezpośrednio i dobrze. Dlatego obrazy, stworzone przez niego, odznaczają się grozą realizmu. To nie fantazja literacka, lecz artystyczny reportaż z życia tej części Brazylii, która wskutek drapieżności posiadaczy i twardych warunków naturalnych, nie poprawionych przez zastosowanie zdobyczy techniki, stała się obszarem raczej głodu i śmierci niż życia.

Autor opisowi swemu nadał charakter fabularny, ale traktuje go jako przekrój bytu nędzarza z północno-wschodniej Brazylii. Bohaterzy opowiadania są typowymi przedstawicielami cierpiących mas. Dlatego zapewne dorosli mają tu tylko imiona własne — Fabiano i Vitoria — a dzieci ich to już po prostu „starszy chłopiec“ i „młodszy chłopiec“. A takich dzieci, spragnionych i głodnych, tyśiące przesuwa się wraz z rodzicami w okresie suszy po spalonych ziemiach północno-wschodniej części Brazylii. Tylko niewiele spośród nich dochodzi do wieku dojrzałego, bo duży procent ginie w nierównej walce z okrutnymi warunkami bytu.

Graciliano Ramos, jako członek Komunistycznej Partii Brazylii, musiał spędzić rok w murach więzienia za czasów dyktatury Getulio Vargasa w roku 1936.

Na czerwonawe tło równiny kładły się zielone plamy dwóch rozłożystych juazeiros¹. Nieszczęśni wędrowcy wlekli się cały dzień, byli zmęczeni i głodni. Przeszli dobre trzy mile, nie co dzień im się to udawało, ale dzisiaj, wypocząwszy porządnie na piaszczystym łożysku wyschłej rzeki, posunęli się w swej wędrówce o duży kawał drogi naprzód. Już od dłuższego czasu poszukiwali cienia. Z daleka, spomiędzy suchych, powykręcanych gałęzi rzadkiej catingi² ukazały się dwa juazeiry o bogatym listowiu.

Wlekli się powolutku, sinia³ Vitoria z bau⁴ na głowie, podtrzymując ramieniem młodszego chłopca, który siedział okrakiem na jej lewym biodrze, ponury Fabiano z przewieszoną przez ramię torbą myśliwską, utkaną

¹ juazeiros czyt. ziuazejros — drzewa. Uwaga: spółgłoska j w jęz. portugalskim czyta się jak ż.

² catinga czyt. katinga — przestrzenie na północy Brazylii porośnięte kolczastymi krzewami i różnego rodzaju kaktusami. Uwaga: c w jęz. portugalskim przed a i o czyta się jak k.

³ sinia — zwyczajny tytuł dodawany do imion zamężnych kobiet z ludu.

⁴ bau — skrzynka z blachy lub koszyk pleciony, służący sprzedawcom w głębi kraju do noszenia owoców czy jakichś przysmaków. Bau służy jako walizka. Nosi się ją zawsze na głowie na podstawie z gałgana skróconego w formie obręczy — nigdy nie przytrzymuje się rękami.

z włókien roślinnych, z cują⁵ na rzemyku u pasa — na prawym ramieniu niósł strzelbę skałkówkę. Za nimi szedł starszy chłopiec z suką Baleią.

Juazeiry to zbliżały się, to oddalały, to nikły zupełnie. Starszy chłopiec rozplakał się i usiadł na ziemi.

— Wstawaj, przeklęty! — krzyknął na niego ojciec.

A gdy nie wywołało to żadnego skutku, uderzył go na płask pochwą ostrego fakona, noża podobnego z kształtu do szabli. Malec poruszył kilka razy nogami, potem położył się na ziemi i zamknął oczy. Fabiano dał mu jeszcze parę klapsów i czekał, aż się podniesie. Nadaremnie. Wówczas rozejrzał się wokoło, zły, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

Ze wszystkich stron rozciągała się catinga. Na czerwonej ziemi, przeblaskującej pomiędzy rzadko rosnącymi kolczastymi krzakami, widniały białe plamy — to kości zwierząt padłych z głodu i pragnienia. Wysoko nad nimi latały czarne sępy urubu zataczając wielkie kręgi.

— Ruszaj się, diabelskie nasienie!

Malec ani drgnął i Fabiano miał ochotę zabić go. Ciężko mu było na sercu, chciał zrzucić na kogoś odpowiedzialność za nieszczęście, które na niego spadło. Suszę uważał za zjawisko naturalne — i upór dziecka rozzłościł go. Oczywiście, że była to drobna przeszkoda, za którą nie należało nikogo winić, ale utrudniała ona posuwanie się naprzód, a Fabiano musiał dojść do celu, choć sam nie wiedział jeszcze dokąd.

Porzucili drogi pełne grubego żwiru i kolców, od wielu już godzin szli brzegiem rzeki po wyschłym błocie którego twarda skorupa raniła im stopy.

Przez znękany umysł chłopca przemknęła myśl, żeby zostawić malca na tym pustkowiu. Spojrzał na urubu,

⁵ cuia — skorupa w kształcie miseczki, wydrążona z owocu przypominającego tykwę.

na kości bielejące wokół, wyteżonym wzrokiem przesukał horyzont i niezdecydowany podrapał się w brodę, rudą i brudną. Sinia Vitoria wydała kilka gardłowych dźwięków, oznaczających, że już są niedaleko, i wyciągnąwszy dolną wargę wskazała nią jakiś bliżej nie określony kierunek. Fabiano schował nóż do pochwy, przyczepił ją z powrotem do pasa, kucnął i wziął za rękę chłopca, który skulił się, podciągając kolana pod brodę. Był zimny jak trup. W jednej chwili złość opadła z Fabiana i ogarnęła go litość. Nie można przecież zostawić tego niebożątka na pastwę dzikich zwierząt. Podał strzelbę sinii Vitorii, wziął chłopca na barana i schwycił dziecinne, cienkie jak patyki ramionka, które bezwładnie opadły mu na piersi. Sinia Vitoria patrzyła na to z uznaniem i znów zarechotała gardłowo, ruchem głowy wskazując powtórnie niewidzialne juazeiry.

Ruszyli przed siebie w milczeniu, tylko że teraz posuwali się jeszcze wolniej, z większym trudem powłócząc nogami.

Pozbawiona towarzysza, Baleia wyprzedziła idących. Biegła dysząc, z wywieszonym językiem; na jej grzbiecie, wygiętym w łuk, odznaczały się wyraźnie sterczące żebra. Od czasu do czasu zatrzymywała się i czekała na wolno wlokących się ludzi.

Jeszcze poprzedniego dnia było ich sześcioro żywych stworzeń, licząc z papugą. Biedaczka zakończyła swój żywot na piasku w korycie wyschłej rzeki, na brzegu kałuży; głód skręcał kiszki wędrowców, a wokół nich nie było nic, czym mogliby go zaspokoić. Baleia pożywiła się nogami, głową i kośćmi swej przyjaciółki i nie zachowała o tym żadnego wspomnienia. Teraz, gdy przystawała na chwilę i oglądając się za siebie wodziła błyszczącymi oczyma po dobrze znanych sobie przedmiotach, zatrzymywała wzrok na blaszanej bau, chwiejącej się za każdym

krokiem sinii Vitorii, szukając tam małej klatki z ptakiem. Fabiano również od czasu do czasu spostrzegał brak papugi, ale w tej samej chwili zjawiało się w jego umyśle wspomnienie tego, co zaszło; na próżno poszukiwał korzonków, resztki mąki wyczerpały się, a wokół nie było słyhać ani pisku, ani ryku żadnego stworzenia zabląkanego w catindze. Sinia Vitoria siedziała na gorącej, spieczonej ziemi obejmując rękami kościste kolana i myślała o różnych zdarzeniach z przeszłości, nie mających żadnego związku z ich obecnym położeniem: o uroczystościach weselnych i świętach kościelnych, o wakeziadach, kiedy to spędzało się do curralu¹ całe bydło z catingi. Wspomnienia te spletały się ze sobą. Zbudził ją z tych rozpamiętywań ostry krzyk; wróciła do rzeczywistości, wzrok jej padł na papugę, która śmiesznie przebierała łapkami, cała napuszczona ze złości. I nagle postanowiła, że ptak posłuży im za pożywienie; usprawiedliwiała się sama przed sobą, że papuga nie umiała gadać i że w ogóle była niepotrzebna. Niemożliwe, by kiedykolwiek nauczyła się gadać. Cała rodzina mało mówiła. A odkąd spadła na nich ta klęska, żyli w milczeniu, rzadko odzywając się — i to tylko krótkimi zdaniem. Papuga wydawała przeciągły, żalospny okrzyk, jakim vaqueiros² popędzają stada wołów, i szczekała przedrzeźniając psa.

Znowu ukazały się zielone plamy juazeirów. Fabiano przyspieszył kroku, zapomniał o głodzie, zmęczeniu i bólu. Miał sandały bardzo zniszczone, twarde paski z roślinnego włókna poprzecinały mu skórę między palcami, co było ogromnie bolesne. Popękane pięty, twarde jak skorupa, bez ustanku krwawiły.

¹ curral — ogrodzenie, za które od czasu do czasu spędza się bydło, pasące się dziko na catindze.

² vaqueiros czyt. wakejros — najemnicy opiekujący się bydłem właściciela fazendy.

Na zakręcie spostrzegł kawałek płotu, zaświtała mu nadzieja znalezienia jakiegoś pożywienia, aż miał ochotę zaśpiewać z radości. Ale głos jego zabrzmiał ochryple, przerażająco. Fabiano zamilkł, aby nie tracić sił.

Opuścili łożysko rzeki i pnąc się w górę ścieżką wzdłuż płotu, doszli do drzew. Od dłuższego już czasu nie widzieli cienia.

Sinia Vitoria ułożyła dzieci, które opadły na ziemię jak kupki łachmanów. Starszy chłopiec, niedawno bliski omdlenia, skulił się wśród suchych liści, oparł głowę na grubym korzeniu juazeira i drzemał budząc się co chwila. A gdy otwierał oczy, widział przed sobą, jak we mgle, małe wzgórze, kilka dużych kamieni i wóz. Baleia zwinęła się w kłębek tuż przy nim.

Znajdowali się na podwórzu wymarłej fazendy. Zewsząd wiało pustką. W dużym curralu ani jednej sztuki bydła; za drugim zrujnowanym ogrodzeniem, gdzie zwykle trzymano mniejsze, łagodne zwierzęta, jak owce, kozy i jagnięta — również pusto; dom vaqueira zamknięty. Prawdopodobnie było pozdychało, a mieszkańcy uciekli.

Przez chwilę Fabiano nasłuchiwał, czy nie dojdzie go dźwięk kołatki — ale na próżno. Podszedł do domu, zastukał do drzwi, potem próbował je wyważyć. Gdy nie ustąpiły pod naporem, otworzył boczną furtkę i dostał się do zagrody pełnej obumarłych, suchych roślin. Obszedł całą rudere wokół, zatrzymał się nad pustym rowem, służącym za zbiornik wody, koło grupy zeschniętych drzew catingeiras, gdzie porozrzucone były jakieś kawałki starego żelastwa; wdrapał się na murowany słupek ogrodzenia i objął wzrokiem catingę, na której zaznaczały się wyraźnie rozrzucone kości i chmury czarnych urubu. Zsunął się ze słupka i pchnął drzwi do kuchni. Ale zaraz wyszedł stamtąd zniechęcony, chwilę postął na werandzie myśląc, czyby tu nie umieścić ro-

dziny. Lecz gdy wrócił pod juazeiry, zastał dzieci śpiące i nie chciał ich budzić. Poszedł po chrust na rozpałkę, przyniósł naręcze drzewa na wpół stoczonego przez termity, nałamał gałęzi z krzaków macambiry i przygotował wszystko do rozpalenia ogniska.

Wtem Baleia nastawiła uszu, wyciągnęła pyszczek łowiąc w nozdrza zapach jakiejś zwierzyny: poczuła *prea*¹, powęszyła chwilę, by umiejscowić zdobycz, i pomknęła w kierunku wzgórza.

Fabiano powiódł za nią wzrokiem i zdumiał się: na wzgórzu spłynął cień. Trącił żonę w ramię i pokazał jej palcem niebo; oboje stali jakiś czas patrząc w górę mimo oślepiającego blasku. Potem wytarli łzy z olśnionych oczu, westchnęli i położyli się skuleni przy śpiących dzieciach, myśląc z niepokojem i obawą, czy obłok nie rozwieje się ustępując przed tym straszliwym, nieubłaganym lazurem, tym lazurem, który oślepia i przyprawia ludzi o szaleństwo.

Tymczasem blask dzienny to jaśniał, to przygasał. Nieoczekiwane cienie spływały na ziemię. Lazurowy klosz nieba jakby zniżał się nad nią i ciemniał, przecięty jedynie krwawymi smugami zachodu.

Nieszczęśliwi uciekinierzy, zagubieni na wypalanej pustyni, czuli się mali i nędzni, oboje żywili ten sam strach i niepokój, wspólna tragiczna dola wytworzyła w nich poczucie jedności. Przytulili się do siebie, serce Fabiana biło tuż przy sercu sinii Vitorii i bezsilny, zmęczony uścisk zbliżył łachmany, które okrywały ich ciała. Ale nie ulegli tej chwili słabości, odsunęli się od siebie zawstydzeni. Nie czuli w sobie siły, by stawić znowu czoło oślepiającej jasności, i bali się stracić nadzieję tłącą się w ich sercach.

¹ *Prea* — mały gryzoń, wielkości szczura.

Zaczęli drzemać, gdy nagle zbudziła ich Baleia, która przybiegła z małym gryzoniem w pysku. Zerwali się z krzykiem. Starszy chłopiec przecierał oczy, spędzając z powiek resztki snu. Sinia Vitoria całowała w uniesieniu pyszczek Balei, a że był zakrwawiony, zlizywała przy tym z niego krew, wykorzystując w ten sposób dziewczynny pocałunek.

Była to zdobycz bardzo mizerna, ale odsuwała na pewien czas termin ich śmierci. A Fabiano chciał żyć. Odważył się spojrzeć na niebo. Chmurka powiększyła się, teraz jej cień obejmował już całe wzgórze. Fabiano zrobił kilka zdecydowanych kroków zapominając o rankach między palcami i o popękanych piętach.

Sinia Vitoria zaczęła grzebać w bau, chłopcy szukali jakiegoś grubego patyka, nadającego się na rożen. Baleia, sztywno wyprostowana, siedziała z nastawionymi uszami i bacznie śledziła przygotowania czekając cierpliwie na część zdobyczy, która jej powinna przypaść w udziale; prawdopodobnie będą to kości gryzonia, a może i skóra.

Fabiano wziął cuję, zeszedł na dół aż do koryta wyschniętej rzeki i znalazł błoto w miejscu, gdzie pojono zwykle zwierzęta. Palcami wykopał dołek w piasku, poczekał, aż nasączyło się doń trochę wody, wtedy położył się na brzuchu i pił długo, dopóki nie zaspokoił pragnienia. Potem obrócił się twarzą do góry i patrzył w gwiazdy, które zaczynały ukazywać się na niebie. Jedna, dwie, trzy, cztery, było dużo gwiazd, było już więcej niż pięć. Zachód pokrywał się lekką mgłą — szaleńcza nadzieja zatrzepotała w sercu Fabiana.

Pomyślał o rodzinie, poczuł głód. Idąc poruszał się, jakby był z drewna, prawdę powiedziawszy, niewiele różnił się od kieratu pana Tomasa. A teraz, gdy leżał spokojnie, czuł ściskanie w brzuchu i szczękał zębami. Ciekawe, co się stało z kieratem pana Tomasa?

Znów spojrzął na niebo. Mgła rosła, ukazał się wielki, biały księżyc. Na pewno będzie deszcz.

Pan Tomas także uciekł przed suszą, kierat jego stanął. A on, Fabiano, był jak kierat. Nie umiał powiedzieć, dlaczego tak myślał o sobie. Księżyc miał mleczną otoczkę. Będzie deszcz. Doskonale. Catinga odżyje, niechby choć dwie sztuki bydła wróciły do zagrody, rozmnożą się i Fabiano zostanie vaqueirem na tej opuszczonej fazendzie. Kołatki o kościanych sercach, uwiązane u szyi bydła, ożywią swym dźwiękiem tę pustkę. Za zagrodą dla kóz będą się bawiły dzieci tłuste i rumiane, a sinia Vitoria będzie się krzątała po domu w pięknej, wzorzystej sukni. Curral zapełni się krowami. A catinga znów się zazieleni.

Przypomniał sobie, że na pagórku pod juazeirami zostały dzieci, żona i pies i że im się bardzo chce pić. Przypomniał sobie o zabitym gryzoniu. Napełnił cuję wodą, wstał i szedł powoli pod górę, żeby nie rozlać drogiego płynu. Lekki powiew muskał krzaki i drzewa. Nowe dźwięki, nowe szelesty. Dreszcz przebiegał po catindze, ożyły suche liście i martwe gałązki.

Wreszcie zatrzymał się przed juazeirami. Postawił cuję na ziemi, podparł ją wokoło kamieniami, cała rodzina ugasiła pragnienie. Potem przykucnął na ziemi, pogrzebał w swej torbie, wziął strzelbę-skałkówkę, zapalił korzeń macambiry i zaczął na niego dmuchać, wydymając zapadłe policzki. Pokazał się drżący, ognisty język i buchnął w górę, oświetlając ogorzałą twarz, rudą brodę i niebieskie oczy Fabiana. W kilka minut później mały gryzoń skręcał się i skwierczał na drewnianym rożnie.

Wszyscy będą szczęśliwi. Sinia Vitoria będzie nosiła szeroką, kwiecistą spódnicę. Jej zwiędła twarz odmłodnieje, obwisłe ciało zjedrnieje, piękne czerwone suknie sinii Vitorii będą wzbudzały zazdrość innych kobiet.

Księżyc wędrował w górę, mleczne welony mgły rosły, gwiazdy gasły w tej bieli, która wypełniała noc. Jedna, dwie, trzy, teraz było mało gwiazd na niebie. Pobliski pagórek zupełnie zginął we mgle.

Fazenda odżyje i on, Fabiano, będzie vaqueirem, właściwie mówiąc — panem świata.

Na ziemi leżały ich rzeczy, jakże skromne i niewystarczające: strzelba-skałkówka, torba z włókien roślinnych, cuja na wodę i blaszana bau — cały dobytek.

Ogień trzeszczał. Prea piekł się i skwierczał nad żarzącymi się węgielkami.

Powrót do życia. Smutna twarz sinii Vitorii pokryje się znowu rumieńcami zdrowia. Malcy będą się tarzali po miękkiej ziemi w zagrodzie dla kóz. Kołatki bydła zadźwięczą daleko po okolicy. Zazieleni się catinga.

Baleia machała ogonem, patrząc w żar ogniska. A ponieważ nie mogła zaprzętać sobie myśli tymi sprawami, czekała cierpliwie, aż nadejdzie upragniona chwila, gdy będzie mogła schrupać kosteczki. Potem zwinie się w kłębek i zaśnie.

Fabiano wypatrywał na piasku śladów jałówki-krasuli. W swej torbie myśliwskiej niósł buteleczkę kreoliny i gdyby spotkał zwierzę, przemyłby mu tym płynem rany rojące się od robactwa. Na piasku zauważył jakieś znaki podobne do śladów krowich racic, złożył więc na tym miejscu dwie suche gałązki na krzyż i odmówił odpowiednią modlitwę. Jeśli krasula jeszcze nie zdechła, na pewno wróci do zagrody, ściągnięta mocą tego zaklęcia.

Wypełniwszy ten obowiązek Fabiano podniósł się i ze spokojnym sumieniem ruszył w kierunku domu. Doszedł do brzegu rzeki. Zmęczył go marsz po miękkim piasku, ale tutaj, po wyschniętym błocie, szło mu się lepiej — klap, klap — klapały trepy, a pęk kołatek, przewieszonych na rzemieniach przez ramię, wtórował im głucho. Szedł zgięty we dwoje, z pochyloną głową, machając rękami w prawo i w lewo, jakby coś od siebie odpychał. Ruchy te były niczym nie wywołane i zupełnie niepotrzebne, ale ojciec vaqueira, jego dziad i przodkowie przyzwyczaili się w ten sposób odgarniać krzaki i gałęzie tamujące im drogę wśród lasu. Dzieci powtarzały te ruchy odziedziczone po ojcach.

Klap, klap... Trzy pary trepów uderzały o popekane błoto, szare i suche z wierzchu, a pod spodem czarne

i miękkie. Grunt na brzegu rzeki kołysał się lekko pod stopami idących.

Baleia biegła przodem — pyszczek podniosła w górę, wężąc i wypatrując krasuli.

Fabiano czuł się zadowolony. Tak, proszę państwa, urządził się. Przybył do tego miejsca wraz z całą rodziną, wszyscy na wpół żywi z głodu, korzonki były ich jedynym pożywieniem. Padli bez sił pod juazeirami tuż przed opuszczonym domem, potem zamieszkali w nim, gnieździłi się w ciemnej izbie, on, kobieta i dzieci, jak szczury w norze, ale przyzwyczaili się do miejsca, powoli zacierało się w ich pamięci wspomnienie przebytych cierpień.

Teraz był już pewny siebie, mocno stąpał po spękanym gruncie; wyciągnął z pochwy ostro zakończony fakon i wyskrobał nim brud z za paznokci. Z torby wyjął kawałek tytoniu, pokroił go, skrecił sobie papierosa z liści kukurydzanych, zapalił go krzesiwem i zaciągnął się z rozkoszą, pełen zadowolenia z siebie.

— Fabianie, jesteś człowiekiem — wykrzyknął na głos.

Ale przypomniał sobie, że synowie idą tuż za nim, i zamilkł; z pewnością zdziwiliby się słysząc, że mówi sam do siebie. A zresztą, właściwie nie jest człowiekiem: jest zaledwie Mulatem pilnującym cudzej własności. Miał twarz ogorzałą, oczy niebieskie, brodę i włosy rude, ale ponieważ mieszkał na cudzej ziemi i opiekował się cudzym bydłem, pokornie kłaniał się białym, czuł się wobec nich nędzny i nieśmiały i uważał się za mieszkańca¹.

¹ mieszkańcy interioru łączą stan posiadania z kolorem skóry: biały, który jest ubogi, uważa się za kolorowego, wzbogacony Murzyn — za białego.

Obejrzał się naokoło, niespokojny, czy ktoś oprócz dzieci nie usłyszał tych nieostrożnych słów, które mu się mimo woli wymknęły. Zmienił je szepcząc:

— Zwierzak z ciebie, Fabianie.

I poczuł się dumny z tego. Tak, proszę państwa, jest zwierzęciem, silnym, wytrzymałym zwierzęciem, zdolnym przewyciężyć wszelkie trudności.

Zniósł przecież straszne cięgi — i oto idzie tu, cały, zdrowy, nawet gruby i silny, paląc swego kukurydzanego papierosa.

— Zwierz, Fabianie.

Tak jest. Objął dom w posiadanie, bo nie miał gdzie umrzeć, kilka dni przetrwał żując różne korzenie. Przyszła ulewa z piorunami, a wraz z nimi zjawił się właściciel, który chciał go wyrzucić z domu. Fabiano udawał, że nie rozumie, i ofiarowywał mu swoje usługi mruczając coś pod nosem, drapiąc się w łokcie i uśmiechając markotnie. Widać było, że chce zostać za wszelką cenę. Wreszcie gospodarz przyjął go na służbę i wręczył mu żelazo do znaczenia bydła.

Teraz Fabiano jest vaqueirem i nie ma siły, która by go stąd ruszyła. Zjawił się jak zwierz, wpełzł do ponurej izby jak zwierz do nory, ale zapuścił już tu korzenie i wrósł w tę ziemię. Spojrzał na rosnące w pobliżu kaktusy mandacaru. Jest mocniejszy niż one wszystkie razem, głęboko zakorzeniony — tak jak catingeiry. On, sinia Vitoria, dwaj chłopcy i Baleia z całych sił wczepili się pazurami w ziemię.

Klap, klap... Rozlegało się za każdym krokiem. Zgięte w łuk ciało vaqueira, jego pałakowate nogi, jego ręce poruszające się, jakby były wyrwane z zawiasów — czyniły go podobnym do małpy.

Nagle zrobiło mu się smutno. To śmieszne — uważać, że mocno i pewnie stoi się na ziemi, gdy ta ziemia jest

cudza! Co za myśl! Jego przeznaczeniem jest tułać się po świecie bez celu razem z wiatrem, razem z liśćmi opadającymi z drzew, jak Żyd wieczny tułacz — to na wozie, to pod wozem. Tułacz, gnany przez suszę. Tu zatrzymał się tylko na jakiś czas, jest gościem. Tak, gościem, który siedzi już za długo i przywiązuje się niepotrzebnie do domu, do curralu, do całego obejścia; gościem, któremu juazeiry dały schronienie w czasie pewnej strasznej nocy.

Strzelił palcami. Baleia przybiegła w podskokach i polizała mu grubą, owłosioną rękę. Rozczuliła go ta pieszczota:

— Dobry z ciebie zwierzak, Baleia.

Żył z dala od ludzi, dobrze czuł się tylko ze zwierzętami. Nie lubił chodzić, jego ciężkie stopy miażdżyły kolce napotykanne po drodze, lecz nie umiały odczuć ciepła ziemi. Jego ciało, brzydkie i powykręcane, w marszu pochylało się niezdarnie to w jedną, to w drugą stronę. Gdy jechał wierzchem, zrastał się z koniem w jedną całość. Czasem w rozmowie z ludźmi używał tego samego języka — wykrzykników i onomatopei — którym porozumiewał się ze zwierzętami. W ogóle mówił bardzo mało. Jego mowa była śpiewna, składała się z gardłowych monosylab i zwierzę doskonale ją rozumiało. Podziwiał trudne i długie wyrazy, jakimi posługiwali się ludzie w mieście. Czasem próbował powtarzać niektóre z nich, choć mu się to nigdy nie udawało, ale wiedział, że były one niepotrzebne a może nawet i niebezpieczne.

Jeden z malców podszedł do niego i zapytał o coś. Fabiano stanął, zmarszczył czoło, czekał chwilę z otwartymi ustami, chcąc jeszcze raz usłyszeć pytanie. Nie rozumiawszy, o co chodzi, zburczał dziecko. Chłopak stawał się bardzo ciekawy, chciał wiedzieć o rzeczach, które nie powinny go obchodzić. Jeśli nadal będzie taki wścibski,

co z niego w końcu wyrośnie? Odprawił malca szorstko, mocno urażony:

— Te diableta mają pomysły...

Nie dokończył zaczętego zdania, bo poczuł, że źle postąpił. Przypomniał sobie własne dzieciństwo, zobaczył samego siebie, jak mały, zbiedzony, w brudnej, poszarpanej koszulinie idzie za ojcem w pole i pyta go o różne rzeczy, lecz nigdy nie otrzymuje odpowiedzi... Przywołał chłopców bliżej i zaczął im opowiadać zdarzenia bieżącego dnia, próbował ich czymś zająć. Klasnął w dłonie krzyżąc zwyczajem myśliwych i pasterzy bydła:

— Eko! Eko!

Baleia rzuciła się jak szalona w krzaki ostów szukając śladów krasuli. Po chwili wróciła zniechęcona, smutna, ze spuszczonego ogonem. Fabiano pocieszał ją głaszcząc i pieścąc. To była przecież tylko lekcja dla chłopaków, trzeba, żeby już teraz nauczyli się, jak mają później postępować.

Przyśpieszył kroku, z nadbrzeżnej grudy zaczął wspinać się pod górę ścieżką prowadzącą na podwórko. Szedł zafrasowany, troska powlekła zadumą jego niebieskie oczy. Czuł, jakby nagle rozwarła się przed nim pustka jakaś. Musi pomówić z żoną, pozbyć się ciężaru tych myśli — napełni teraz kosze kawałkami mandacaru i nakarmi bydło. Całe szczęście, że jałówka została uzdrowiona — zamówił chorobę modlitwą. Jeśli krasula zdechnie, nie będzie to jego winą.

— Eko! Eko!

I Baleia znów na próżno pomknęła jak strzała ku kępom macambir. Chłopcy ożywili się, ta zabawa bardzo im się spodobała — i Fabianowi zrobiło się lżej na duszy. Ot, proszę — to jest słuszne i rozsądne. Baleia oczywiście nie mogła znaleźć cielaka wśród krzewów macambir, ale trzeba, żeby chłopcy powoli nabierali wprawy w tym cwi-

czeniu, muszą śledzić ruchy suki, wydawać odpowiednie okrzyki i kiedy trzeba — klaskać w ręce. Suka przybiegła z powrotem, wywiesiła język i dyszała. Fabiano szedł pierwszy, zadowolony z lekcji, jaką dał chłopcom. Myślał z przyjemnością o klaczy, którą miał ujeździć. Klacz nigdy jeszcze nie czuła jeźdźca na grzbiecie. Cóż to będzie za kwik i rzenie w catindze.

A teraz musi porozumieć się z sinią Vitorią co do wychowania dzieciaków. Oczywiście, że ona nie była tu winna. Musiała przecież zajmować się domem, przygotowywać pożywienie, podlewać goździki i piołun posadzony w garnkach, chodzić po wodę do zbiornika, zmywać statki — cóż dziwnego, że chłopcy, zostawieni sami sobie, bawili się w gliniance i chodzili umorusani jak świnie. Przy tym byli nieznośni, bo ciągle o coś pytali. Fabiano zupełnie dobrze czuł się ze swym nieuctwem. Czy miał jakieś prawo do tego, żeby coś umieć? Miał? Jasne, że nie miał.

— No, więc...

Gdyby coś umiał, czułby potrzebę nauczania się jeszcze więcej i nigdy nie osiągnąłby zadowolenia.

Przypomniał sobie pana Tomasza, właściciela kieratu. Najskromniejszym, najbardziej nieśmiałym człowiekiem w całej okolicy był właśnie pan Tomasz od kieratu. A dlaczego? Tylko dlatego, że czytał za dużo. Fabiano bardzo często go ostrzegał: — „Panie Tomasz, niech się pan pomiarkuje. Na co tyle tych książek? Jak przyjdzie jakaś bieda, to pan jej się naje tak samiusieńko jak inni“. No, i nastąpiła susza. Biedny stary, taki dobry i taki uczony, a stracił wszystko, chodził jak struty. Może już i zeszedł z tego świata, bo takiemu jak on trudno przetrzymać letnią kanikułę.

Inna rzecz, że jego uczoność wzbudzała szacunek. Kiedy pan Tomasz od kieratu przejeżdżał na swoim ślepym, koślawo stąpającym koniu, zgarbiony, blady, po-

ważny — Fabiano i jemu podobni odkrywali głowy pochylając się w ukłonach. A pan Tomas pozdrawiał ich również, dotykając ręką słomkowego kapelusza, odwracał się przy tym w prawo i w lewo, szeroko rozstawiając nogi w butach z czarnej skóry, upstrzonej czerwonymi łatami.

Nieraz w swej naiwności Fabiano pragnął go naśladować: używał wtedy trudnych wyrazów, które przekreślał, bo nie umiał ich dobrze wymówić, i był przekonany, że staje się przez to mądrzejszy. Co za głupota! Widziało się przecież od razu, że taki prostak jak on nie był stworzony po to, żeby mówić poprawnie.

Pan Tomas od kieratu umiał ślicznie mówić, zepsuł sobie oczy ślęcząc nad pismami i książkami, ale nie umiał rozkazywać: prosił. Śmieszne, żeby taki człowiek jak on, wcale nie biedny, był uprzejmy. Nawet prości ludzie uważali to za dziwne. Ale wszyscy go słuchali. No, czyż nie tak? Któż może powiedzieć, że nie słuchali?

Inni biali wcale nie byli do niego podobni. Na przykład obecny pan Fabiana wrzeszczał bez żadnej potrzeby. Rzadko przyjeżdżał na fazendę, a gdy się zjawiał, to tylko po to, żeby wymyślać. Zawsze musiał zrzedzić. Bydło rozmnażało się, wszystko na fazendzie szło jak najlepiej, ale właściciel krzyczał na vaqueira. Zrozumiałe. Krzyczał dlatego, że wolno mu było krzyczeć, a Fabiano stał ze swym skórzanym kapeluszem pod pachą i słuchał tych wrzasków, przeproszał i obiecywał poprawę. A w duchu przysięgał sobie, że nic nie zmieni w gospodarstwie, bo wszystko było w jak najlepszym porządku, a dziedzic chciał tylko pokazać, że jest tu panem, że ma nad nim władzę. No, wiadomo, nikt o tym nie wątpił.

Fabiano jest czymś, co się na fazendzie nie liczy, jest po prostu rzeczą, łachmanem — mogą go odprawić, kiedy się tego najmniej będzie spodziewał. Gdy wstępował na służbę, dostał z zarządu majątku konia i całe ubranie

vaqueira: kaftan skórzany i spodnie, napierśnik, tj. kawał skóry uwiązany u szyi i u pasa dla ochrony piersi, i trzewiki z surowej skóry; ale kiedy będzie odchodził, musi to wszystko zostawić swemu następcy.

Sinia Vitoria marzyła o tym, żeby mieć łóżko takie, jak pan Tomas od kieratu. Szaleństwo! Nic na to nie mówił, bo nie chciał się jej sprzeciwić, ale wiedział przecież, że to szaleństwo. Takie zbytki nie dla nich biedaków. A poza tym zatrzymali się tutaj chwilowo. Każdego dnia pan może ich wypędzić i pójść precz, przed siebie, nie mając nawet na czym wywieźć swych gratów. Całe mienie spakują w tłumoki, noce będą musieli spędzać pod gołym niebem.

Rozejrzał się po żółtawej catindze, na którą zachodzące słońce rzucało czerwony odblask. Jeśli znów przyjdzie susza, ani jedna roślina nie pozostanie zielona. Dreszcz nim wstrząsnął. Przyjdzie susza, naturalnie, że przyjdzie. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze tak bywało. A przed jego urodzeniem, w czasach, do których pamięć jego sięgnąć nie mogła, tak samo dobre lata przeplatały się ze złymi. Klęska zbliżała się, była już może tuż, tuż przy nim. Nie opłacało się pracować. Oto teraz, gdy on idzie do domu wspinając się po pochyłości pagórka i rozrzucając gruby żwir sandałami — ona pędzi ku niemu galopem, dysząc żądzą zniszczenia.

Przeżegnał się odwracając twarz, by dzieci tego nie zauważyły. Nie chciał umrzeć. Miał jeszcze ochotę przemierzyć świat, zobaczyć inne strony, poznać uczonych ludzi, takich jak pan Tomas od kieratu. Był gotów walczyć ze złym losem i czuł się na siłach, by go pokonać. Nie chciał jeszcze umierać. Żył zaszyty w gęstwinie dzikich zarośli jak pancernik i był jak to zwierzę ociężały, i jak ono miał twardą skorupę. Ale przyjdzie dzień, gdy

dzikus podniesie głowę, opuści swą norę i stanie się człowiekiem.

— Tak jest, człowiekiem, Fabianie.

Podrapał się w owłosioną szczękę, przystanął i po raz drugi zapalił papierosa. Nie, prawdopodobnie nigdy nie będzie człowiekiem: przez całe życie pozostanie tym, czym jest teraz, prostakiem - Mulatem na usługach ludzi białych, prawie że bydlęciem roboczym na cudzej ziemi.

A co dalej? Fabiano był pewien, że nie wykończy się prędko. Przetrzyma wiele dni bez jedzenia, zaciskając pasa na kurczącym się żołądku. Będzie żył długo, będzie żył cały wiek. A gdy umrze z głodu lub zginie przebity rogami byka, pozostawi równie wytrzymałe na nędzę dzieci, z których pocznie się nowe pokolenie.

Wokół wszystko suche. I dziedzic jest także suchy, kłótniwy, wymagający i złodziej, dokuczliwy jak kolce mandacaru.

Trzeba koniecznie, żeby chłopcy weszli już na właściwą drogę, żeby uczyli się ścinać mandacaru dla bydła, naprawiać płoty i obłaskawiać dzikie zwierzęta. Muszą stać się twardzi jak pancernik, bo inaczej spotka ich los pana Tomasa od kieratu. Biedaczysko! Na co mu się przydało to czytanie gazet i książek? I tak umarł, bo miał słabe nogi i chory żołądek.

Kiedyś... Tak, kiedyś, gdy przestanie grozić susza i wszystko będzie szło dobrze... Czyżby rzeczywiście susze kiedyś miały zniknąć i wszystko miało iść dobrze?... Nie wiedział. Pan Tomasz od kieratu pewno o tym czytał w książkach. Ale chłopcy nie będą ślęczeli nad czytaniem, mogą więc swobodnie dokazywać, zadawać różne pytania i mówić, co tylko im do głowy przyjdzie. A teraz muszą poznać swoje obowiązki i zachowywać się, jak przystało ludziom takim jak oni.

Minął juazeiros, później stos kamieni, gdzie rzucało się zabite węże; nieco dalej stał wóz. Fabiano wszedł na podwórko i spojrzął na niski, ciemny dom. Trepy malców klapały za nim na gładkiej, białej ścieżce. Przodem biegła Baleia dysząc, z wywieszonym językiem.

O tej porze sinia Vitoria z pewnością jest w kuchni i gotuje strawę przykucnąwszy przed paleniskiem ułożonym z kamieni i wciskając między kolana kwiecistą spódnice, żeby jej się nie walała po ziemi.

Fabiano poczuł, że jest głodny. Po obiedzie pomówi z sinią Vitorią o wychowaniu chłopców.

Fabiano wybrał się na targ do miasta po zakupy żywności. Miał kupić sól, mąkę, czarną fasolę i rapadurę¹. Sinia Vitoria prosiła go prócz tego o butelkę nafty i kilka metrów czerwonego perkalu. Ale nafta w sklepie pana Inacia była zmieszana z wodą, a perkal wybrany według próbki okazał się bardzo drogi.

Fabiano przeszukiwał sklepy po kolei, przerzucał sztuki materiałów, targował się zawzięcie o każdy grosz na łokciu, bojąc się, że chcą go oszukać. Nie mógł się zdecydować, nieufność, wzmagająca się w nim z każdym rokiem, nauczyła go chytryści. W końcu późnym popołudniem wyciągnął pieniądze z kieszeni, prawie gotów zapłacić żadaną sumę, ale natychmiast tego pożałował w przekonaniu, że wszyscy kupcy oszukują na cenie i na miarze; zawiązał pieniądze z powrotem w węzełek chustki, schował je do kieszeni i poszedł do szynku pana Inacia, gdzie zostawił swoje rzeczy.

Tam upewnił się raz jeszcze, że nafta była chrzczona, i postanowił wypić kieliszek wódki, bo zrobiło mu się gorąco. Pan Inacio przyniósł butelkę. Fabiano wychylił kieliszek jednym łykiem, splunął, wytarł usta rękawem i skrzywił się. Mógłby przysiąc, że wódka była z wodą. „Dlaczego pan Inacio do wszystkiego dolewa wody?” —

¹ rapadura — zgęszczony w tabliczkach sok trzciny cukrowej.

spytał sam siebie w myśli. Zebrał się na odwagę i zadał głośno to samo pytanie szynkarzowi:

— Dlaczegoż to pan do wszystkiego dolewa wody?

Pan Inacio udał, że nie słyszy. I Fabiano wyszedł przed dom z zamiarem porozmawiania z kimkolwiek. Słownik jego był bardzo ubogi, ale w chwilach, gdy odczuwał potrzebę zwierzeń, wzbogacał go niektórymi wyrażeniami pana Tomasa od kieratu. Biedny pan Tomas. Taki mądry człowiek i na co mu to przyszło: musiał jak pierwszy lepszy prostak iść w świat z tłumokiem na plecach. Pan Tomas był bardzo szanowanym człowiekiem i nawet głosował. Kto by to powiedział?

Podczas tych rozmyślań Fabiana zbliżył się do niego wynędzniały policjant o bladej twarzy i uderzył go po ufałe po ramieniu.

— No i co, przyjacielu? Pójdziemy zagrać w trzydzieści jeden?

Fabiano spojrzał z szacunkiem na mundur i wyjąkał szukając w myśli wyrazów pana Tomasa od kieratu:

— Tak jest. Albo pójdziemy, albo nie pójdziemy. To znaczy... Wreszcie, zważywszy i tak dalej... Zależy.

Wstał i poszedł za policjantem, który był władzą i rozkazywał. Fabiano przez całe życie słuchał czyichś rozkazów. Nie zbywało mu na siłach fizycznych, ale mało myślał, mało pragnął, był posłuszny innym.

Przeszli koło lady szynku i przez korytarz dostali się do izby, w której spora grupa mężczyzn grała w karty, siedząc dokoła stołu pokrytego matą z sitowia.

— Odsuńcie się — rozkazał policjant. — Przyszli ważniejsi od was.

Grający skupili się, dając miejsca nowoprzybyłym, policjant wziął talię do ręki. Ale nie miał szczęścia i już po chwili przegrał. Fabianowi również karta nie szła. Sinia Vitoria będzie wściekła i — będzie miała słuszość.

— Dobrze mi tak.

Wstał ze złością i wyszedł.

— Poczekaj no ty, cywilu! — krzyknął za nim policjant.

Ale Fabiano się nie odwrócił. Uszy mu płonęły, twarz miał posepną. Poszedł do pana Inacia, by zabrać rzeczy, które u niego zostawił, wciągnął na grzbiet skórzany kaftan, umocował na ramionach rzemyki worka i wyszedł na ulicę.

Na placu pod cienistą jatobą stała sinia Rita, handlarka porcelaną. Fabiano zatrzymał się przy niej na pogawędkę, nie miał odwagi wracać do domu. Czym usprawiedliwi się przed sinią Vitorią? W myśli opracowywał jakąś skomplikowaną wymówkę. Zgubił paczkę z perkalem, kupił w aptece lekarstwo dla sinii Rity. Zmieszał się: miał słabą wyobraźnię i nie umiał kłamać. W historyjkach, które usiłował stworzyć na swoje usprawiedliwienie, ukazywała się stale osoba sinii Rity i to go gniewało. Nie, wymyśli coś takiego, żeby nie wspomnieć wcale o niej, powie, że ukradli mu materiał. A czy tak nie było? Przecież ograli go w trzydzieści jeden. Ale nie powinien mówić, że grał w karty. Opowie po prostu, że chustka z węzełkiem, w którym schował pieniądze, była w kieszeni kaftana i że znikła stamtąd. Tak powie: „Kupiłem żywność. Zostawiłem kaftan i worek w szynku pana Inacia. Spotkałem policjanta o bardzo bladej twarzy.“ Nie, nie spotkał nikogo. Znów wszystko mu się w głowie pomieszało. Miał ochotę wspomnieć o żołnierzu, dawnym znajomym, przyjacielu z lat dziecińczych. Kobietę wbije w dumę ta wiadomość. A może i nie. Jest chytra, pozna się na tym, że on się tylko tak chwali. Nie, to na nic. Pieniądze znikły z kieszeni kaftana w sklepie pana Inacia. Wiadomo.

Powtarzał sobie, że „wiadomo“, kiedy wtem ktoś popchnął go tak mocno, że Fabiano wpadł na drzewo. Ściemniało się; plac targowy opustoszał; miejski latarnik szedł z drabiną i kolejno zapalał lampy uliczne. Nad wieżą kościelną zamigotała Wenus — pierwsza gwiazda wieczorna; w drzwiach apteki stanął pan sędzia; przeszedł kulejąc miejski inkasent z kwitariuszem pod pachą; śmieciarz przejechał ze swym ręcznym wózkiem, na który zbierał porozrzucane na ziemi skórki od owoców i śmieci; ksiądz wikary wyszedł z domu i otworzył parasol, bo zaczął mżyć drobniutki kapuśniaczek; sinia Rita zebrała swoją porcelanę i poszła do domu.

Fabiano poczuł, że drży cały. Wróci do siebie późną nocą. Opętany przez diabła karcianego, oszołomiony wódką, nie zauważył, że czas uchodzi. I nie kupił nafty, przez cały tydzień trzeba będzie palić kawałkami wysuszonego kaktusa. Obciągnąwszy skórzany kaftan i poprawiwszy rzemyki u worka, zbierał się w drogę. Nagle zachwiał się, ktoś popchnął go po raz drugi. Obejrzał się i zobaczył wymizerowanego policjanta, który patrzył na niego z wyzywającą, ponurą miną i zmarszczonym czołem. Już chciał zerwać z głowy skórzany kapelusz i trzasnąć nim napastnika w nos. Takie uderzenie ciężkiego skózanego kapelusza, dobrze wymierzone, od razu powaliłoby na ziemię to chuchro. Spojrzał wokoło i powstrzymał odruch oburzenia. W catindze nie pozwoliliby sobie w kaszę dmuchać, ale tu w mieście opanował się.

— Nie macie prawa zaczepiać spokojnych ludzi.

— Odsuń się! — ryknął policjant i obrzucił go gradem wyzwisk, zarzucając mu, że wyszedł z szynku bez pożegnania.

— To kłamstwo — wyjąkał vaqueiro. — Czy to moja wina, żeście przegrali w karty?

Zachłysnął się. „Władza“ krążył jeszcze jakiś czas koło niego, chcąc wywołać kłótnię. A nie znalazłszy powodu podszedł do chłopca i nadepnął mu obcasem na nogę.

— Tego się nie robi — zaprotestował Fabiano. — Ja przecież stoję spokojnie.

Ale tamten wciąż trzymał obcas na nodze vaqueira i przyciskał z całych sił. Wreszcie Fabiano stracił cierpliwość i zwymyślał policjanta, wypominając mu matkę. Wtedy policjant przyłożył gwizdek do ust i po chwili oddział policji miejskiej otoczył jatobę.

— Ruszaj naprzód! — ryknął kapral.

Fabiano oszołomiony pomaszerował wprost przed siebie, wszedł do aresztu, wysłuchał jakiegoś przerażającego oskarżenia, nic z niego nie rozumiejąc, i nie wymówił ani jednego słowa w swojej obronie.

— W porządku! — zawołał kapral. — A teraz nastaw grzbiet, cywilu.

Fabiano upadł na kolana i dostał w plecy i w piersi kilka porządnych uderzeń klingą fakona. Potem otworzyły się jakieś drzwi i potężny kułak wrzucił go raptownie w ciemności celi. Klucz zgrzytnął w zamku. Fabiano wstał ogłuszony i usiadł w kącie, mrużąc:

— Hm! hm!

Dlaczego tak z nim postąpili? Nie mógł tego zrozumieć. Prowadził się nienagannie — naprawdę — nigdy nie siedział w więzieniu. I nagle taka awantura bez żadnej przyczyny. Był tak oszołomiony, że to, co się stało, wprost mu się w głowie nie mieściło. Wszyscy rzucili się nagle na niego jak potępieńcy. Jakże mógł sam jeden oprzeć się tej przemocy?

— No, dobrze, już dobrze.

Pomacał się po plecach i piersiach, poczuł się zmiażdżony, niebieskie oczy błyszczały mu jak u kota. Nie ma gadania, zbili go i wsadzili do aresztu. Ale to był wypa-

dek tak dziwny, że w kilka minut po uświadomieniu sobie tego faktu Fabiano z niedowierzaniem kiwał głową, choć dotkliwy ból w całym ciele był najlepszym potwierdzeniem, że spotkała go rzeczywiście ta przykra przygoda.

No, no, ten wymizerowany żołnierz... Tak, naturalnie że brał w tym udział policjant, to nędzne chuchro, które Fabiano zwałiby na ziemię jednym uderzeniem pięści. A nie zwał go tylko dlatego, że tamten miał prawo rozkazywać. Splunął ze wstrętem.

— Bezwstydnik, tchórz, łajdak, ścierwo!

I to z powodu takiej zarazy napada się na spokojnego ojca rodziny. Stała mu przed oczami żona, dzieci i suka Baleia. Doczołgał się na czworakach do worka, który upadł na ziemię, i sprawdził jego zawartość, by się przekonać, czy jest w nim wszystko to, co kupił na targu. Mogło coś wypaść i zginąć w tym zamieszaniu. Przypomniał sobie piękny materiał, który widział w jednym sklepie w czasie swej wędrowki po targu. Mięisty, szeroki perkal, czerwony, w kwiaty i liście — właśnie takusieńki, jakiego chciała sinia Vitoria. Przez skąpstwo, targując się o każdy grosz, tak pięknie zakończył dzień. Znow zaczął sprawdzać zawartość worka. Sinia Vitoria na pewno niepokoi się, że go tak długo nie widać. W domu ciemno, dzieci siedzą przy ogniu, Baleia czuwa nasłuchując jego kroków. Z pewnością zamknęli drzwi wejściowe.

Wyciągnął nogi i oparł się o ścianę obolałymi plecami. Gdyby mu dali trochę czasu, wszystko wytłumaczyłby im doskonale. Ale spadło to na niego tak nagle, że aż zaniemówił ze zdumienia. Kogóż by nie rozzłościła taka przygoda? Nie przypuszczał, aby to było specjalnie skierowane przeciwko niemu. To jakaś omyłka, policjant prawdopodobnie wziął go za kogoś innego. Tak, z pewnością.

No, ale dlaczego taki awanturnik wpada w złość, urządza burdę i wrzuca spokojnego wieśniaka do więzienia,

a jeszcze w dodatku każe go obić? Fabiano wiedział doskonale, że tak zawsze bywa, przyzwyczał się już do wszelkich gwałtów, do wszelkich niesprawiedliwości. I zawsze pocieszał swych znajomych, którym zdarzało się spędzać noc w areszcie i brać ciągi od władz: — Trzeba to znosić cierpliwie. Oberwać od rządu to nie hańba.

Ale teraz zgrzytał zębami i sapał. Czy zasłużył na jakąś karę?

— Ach!

I chociaż starał się usilnie przekonać samego siebie, że wymizerowany żołnierz jest rządem, to jednak nie mógł się z tym pogodzić. Rząd — to jest coś, co znajduje się bardzo daleko i jest doskonałe, a zatem nie może się mylić. Policjant-chuchro jest tu blisko, za tą kratą, słaby i zły, gra w karty w szynku z prostytutkami, a potem robi awantury. Rząd nie powinien pozwolić na takie zuchwalstwo.

W ogóle po co chodzą po świecie ci wynędzniali policjanci? Krzyknął nagle wściekle i dał kopniaka w ścianę. Po co istnieją wynędzniali policjanci? Inni aresztanci poruszyli się na swych miejscach zdziwieni, dozorca podszedł do zakratowanego okienka i Fabiano równie nagle uspokoił się.

— No, dobrze, już dobrze. Nic się nie stało.

A właśnie, że stało się dużo. Nie mógł tego wszystkiego, co się stało, wytłumaczyć, ale stało się wiele rzeczy. Niechby zapytali pana Tomasa od kieratu, który czytał książki i wiedział, co w trawie piszczy. Pan Tomasz od kieratu wyłożyłby im wszystko. On, Fabiano, nieokrzesany prostak, nic nie będzie mówił. Chce tylko wrócić do sinii Vitorii, położyć się na łóżku z drewnianych prętów i odpocząć. Po co zaczepiają spokojnego człowieka, który tylko chce odpocząć? Niechby zaczepiali innych.

— Ach!

Wszystko to nie jest tak, jak być powinno.

— Ach!

A czy oni są odważni? Wyobraził sobie policjanta o wymizerowanej twarzy rzucającego się w catindze na rozbójnika. Śmiechu warte! Aniby zipnął i już by leżał powalony.

Stanął mu przed oczami stary domek, w którym mieszkali, kuchnia, palenisko z trzech kamieni, na nim garnek z dymiącą strawą. Sinia Vitoria wrzuca sól do garnka. I znów otworzył worek: paczka z solą nie zginęła. Doskonałe. Sinia Vitoria próbuje zupę warząchwią z orzecha kokosowego.

I Fabiano poczuł ciężar na sercu; dręczyła go myśl o żonie, dzieciach i suce Balei, uważanej za członka rodziny a mądrej niczym człowiek. Podczas tej strasznej wędrówki w okresie suszy, gdy wszyscy czworo prawie konali z głodu, psina uratowała im życie, przynosząc w pysku małego gryzonia. Starzeje się już biedaczka. Sinia Vitoria pewno niepokoi się bardzo i wciąż podchodzi do drzwi, by nasłuchiwać. Kogut bije skrzydłami, bydło porykuje w zagrodzie, słysząc dźwięki kołatek.

Gdyby nie to wszystko... Ach! Co mu na myśl przychodzi? Przytknął twarz do kraty okienka wychodzącego na ulicę. Phi! co za ciemności! Latarnia na rogu placu zgasła, pewnie zapalacz miejski wlał do niej tylko pół miarki nafty.

Biedna sinia Vitoria, troskliwa żona, w ciemności czeka na niego z niepokojem. Dzieci siedzą przy ogniu, jadło skwierczy w garnku, Baleia cała w słuch zamieniona, blaszana lampka wisi na gwoździu na ścianie.

Taki był zmęczony i obolały, że prawie zasypiał, nie bacząc na swe tragiczne położenie. W celi razem z nim było kilku mężczyzn, przycupniętych przy ognisku, które napełniało izbę dymem, i jeden pijany, bredzący na głos.

Aresztowani kłócili się ze sobą i narzekali, że drzewo mokre.

Fabiano drzemał, głowa to opadała mu ciężko na piersi, to podnosiła się. Powinien był kupić naftę u pana Inacia. Kobieta i dzieci muszą teraz siedzieć w gryzącym dymie.

Drgnął nagle i przebudził się. Czyżby rozum postradał? Wszystko kołowało mu w głowie. Może z powodu wódki. Nie, niemożliwe: wypił przecież tylko jeden kieliszek, i to niepełny. Gdyby dali mu trochę więcej czasu, opowiedziałby wszystko, co zaszło.

Usłyszał bezsensowne bredzenie pijanego i ogarnęło go przykre uczucie jakby jakiegoś dziwnego niepokoju. On także mówił od rzeczy, pojedyncze wyrazy bez ładu i składu. Rozgniewało go to porównanie, uderzył kilka razy pięścią w ścianę. Jest prostakiem, nieukiem — to prawda — nie uczył się nigdy, nie umiał wypowiedzieć tego, co myślał. Ale za to go aresztować? Jakże można? A więc wsadza się człowieka do kozy dlatego, że nie umie porządnie mówić? Co to komu szkodziło, że jest głupcem? Przez całe życie pracował niczym niewolnik. Leczył powierzone sobie zwierzęta, naprawiał płoty, oczyszczał wodopój; gnieździ się teraz z rodziną w marnej ruderze. Wszystko utrzymywał w porządku; mogą sprawdzić. Czy to jego wina, że jest nieokrzesanym chłopem? Czyjaż to wina?

Gdyby nie to... Już nic nie wiedział. Wątek myśli rósł, rósł, olbrzymiał — i pękł. Trudno jest myśleć. Przebywał zawsze tylko wśród zwierząt i był jakby jednym z nich... Nigdy nawet nie widział szkoły. Dlatego nie umiał bronić się, dlatego nie mógł uporządkować swych myśli i błąkał się w ich gąszczu. Chwilami chwycił ukryty, złośliwy sens swej tragicznej przygody i natychmiast gubił go zrozpaczony. Wściec się można! Gdyby mu dali w dzieciństwie możliwość uczenia się w szkole, pewno znalazłby sposób

zrozumienia tej sprawy. Ale teraz już wszystko na nic, umie obchodzić się tylko ze zwierzętami.

No, wreszcie... Pan Tomas wytłumaczyłby im to wszystko. Niechby się jego spytali. Pan Tomas od kieratu to dobry, porządny człowiek, uczony człowiek. Każdy jest taki, jakim go Pan Bóg stworzył. On, Fabiano, jest prostakiem, ot, właśnie — niczym innym.

Chciałby tylko... Ee... Zapomniał, czego by chciał. Teraz stanęła mu w pamięci ta straszna wędrówka, którą odbyli przez catingę, konając powoli z głodu. Nogi dzieciaków były cienkie jak patyki, sinia Vitoria wciąż zataczała się pod ciężarem bau z rzeczami. Na brzegu rzeki zatrzymali się i zjedli papugę, która nie umiała mówić. Trudno, tak było trzeba.

Fabiano nie umie mówić. Czasem przekręca wyrazy, bo nie wie, jak je należy wymawiać. Czuje doskonale, że to głupota. Nie może uporządkować sobie tego, co ma w głowie. Gdyby mógł... Ach! Gdyby mógł, rzuciłby się na policjantów o wybladłych twarzach, którzy biją niewinnych ludzi.

Uderzył się pięścią w głowę, potem ścisnął ją dłońmi. Co tu robią ci ludzie siedzący w kucki dokoła ogniska? Co mówi ten pijany, wrzeszczący wniebogłosy? Poczul sam ochotę krzyknąć ile sił w piersi i oznajmić całemu miastu, że wszyscy oni tu, w tej celi, zgromadzeni są niczym. Wtem doszedł go jakiś zawodzący, cienki głos. Na sąsiednim oddziale dla kobiet ktoś płakał i przeklinał pchły. Na pewno dziewczka uliczna, taka, co to ją każdy może kupić. Ta też nic nie jest warta. Fabiana ogarnęła przemożna chęć upewnienia krzykiem całego miasta i wszystkich jego władz: sędziego, komisarza policji, wikarego i poborcę podatków, że tu, w areszcie, wszyscy są nic niewarci. On i chłopcy dokoła ogniska, pijany i dziewczyna złorzecząca pchłom, wszyscy oni są do niczego,

nikomu niepotrzebni, ot, po prostu śmiecie. To właśnie chciał powiedzieć.

A, jeszcze coś: ten płomień, co wije się w jego głowie to tu, to tam. Tak, jeszcze to. Co to jest? Musi odpocząć. Boli go czoło, pewnie od uderzenia ręką fakona. Ale i całą głowę ma obolałą, wydaje mu się, że mózg gotuje się w czaszce — jakby mu ktoś postawił wewnątrz garnek z wrzącą wodą.

Biedna sinia Vitoria, sama pełna niepokoju, a uspokaja dzieci. Baleia czuwa tuż przy ognisku. Gdyby nie oni...

Teraz Fabianowi nareszcie udało się zaprowadzić jaki taki ład w pogmatwanych myślach. Zrozumiał, że to, co go krępuje, co go wiąże, to jest rodzina. Żył jak cielak przywiązany do słupa i znoszący ból rozpalonego żelaza, którym się go znaczy. Gdyby nie to, żaden policjant o wymizerowanej twarzy nie mógłby mu deptać po trepach, czyli prawie po bosych nogach — o, nie! Pamięć o żonie i dzieciach odbierała mu siły, sprawiała, że miękł i uginał karku. Gdyby nie to jarzmo, nie zachowałby się tak potulnie. Skoczyłby jak zwierz rozjuszony i zrobił coś straszego. Schwyciłby swą fuzję i strzelił w bladego policjanta. Nie. Blady policjant to nieszczęśliwiec, niewart nawet, żeby go trzasnąć w gębę wierzchem dłoni. Fabiano pozabijałby tych, którym policjant służy. Przystałby do bandy rozbójników i niszczył tych wszystkich, którzy rządzą wynędzniałymi policjantami. Nie zostawiłby przy życiu żadnego z nich, ani nawet na lekarstwo. To ta myśl właśnie gotowała mu się w mózgu. Ale cóż, jest żona, są dzieci, jest pies.

Zaczął krzyczeć z całych sił. Wszyscy przerażili się: ci, co dmuchali w mokre węgielki, pijany gadający od rzeczy, dozorca więzienny i kobieta skarżąca się na pchły. Czuł, że wiszą mu u szyi kloce drewniane, jak te, które przywiązuje się jeszcze nie obłaskawionym zwierzętom

domowym, by im utrudnić ucieczkę z fazendy. Czyż musi zawsze ciągnąć ten ciężar z sobą? Sinia Vitoria nie może wygodnie spać na łóżku z prętów drewnianych. Chłopcy są prostytutkami, tak jak ich ojciec. Kiedy dorosną, będą musieli dbać o pańskie bydło, nie widując nawet swego pana, a wynędzniali policjanci będą ich bili, deptali i poniewierali.

Przykucnąwszy przy kamieniach służących za palenisko i mocno ścisnąwszy między kolanami kwiecistą spódnice, sinia Vitoria zabrała się do rozdmuchiwania ognia. Z żarzących się węgielków chmura popiołu buchnęła jej w twarz, kłęb dymu zasłonił oczy, różaniec z biało-niebieskich paciorków wysunął się jej zza koszuli i uderzył w rondel. Sinia Vitoria otarła wierzchem dłoni załzawione oczy, zmrużyła powieki, wsunęła różaniec z powrotem między piersi i dmuchała energicznie, mocno wydymając policzki.

Wkrótce ogniste płomyki zaczęły lizać popiół, ale prawie zaraz zgasły; po chwili znów ukazały się i rozpierzchły wśród kamieni. Sinia Vitoria wyprostowała schylone plecy i poruszyła kilka razy miechem z liści palmowych. Deszcz złocistych iskier spadł na Baleię, która drzemała zwinięta w kłębek, rozmarzona zapachem gotującej się strawy.

Zbudzona silniejszym podmuchem powietrza oraz trzaskiem palącego się chrustu, Baleia wstała i odsunęła się przezornie od ognia, by nie osmalić sobie sierści. Przesiadła nie opodal i przyglądała się z podziwem złocistym iskierekom, które gęsto padały na ziemię i gasły, zanim jej dotknęły. Machnęła kilkakrotnie ogonem, jakby w uznaniu dla tego pięknego zjawiska, i uczuła potrzebę wyrażenia pani swego uwielbienia; zbliżyła się więc do

niej w krótkich podskokach i wywiesiwszy język siadła przed nią na tylnych łapach, podnosząc przednie do góry. Ale sinia Vitoria przyjęła obojętnie te oznaki psiego przywiązania.

— A pódziesz!

I kopnęła sukę, która odeszła upokorzona, miotana buntowniczymi uczuciami.

Sinia Vitoria od samego rana była dziś w kwaśnym humorze. Ni stąd, ni zowąd napadła na męża obsypując go ostrymi wymówkami z powodu łóżka o drewnianych prętach. Fabiano, który nie był przygotowany na podobne grubiaństwo, pomrukiwał tylko: „Hm! hm!“ Nie podjął wyzwania, bo wiadomo, że kobieta to stworzenie, które trudno zrozumieć; położył się na hamaku i usnął. Sinia Vitoria chodziła po domu tam i z powrotem, szukając, do czego by mogła się przyczepić i wybuchnąć, aby sobie ulżyć. Ale ponieważ znalazła wszystko w porządku, więc zaczęła ogólnie narzekać na życie. A teraz wywarła swą złość na Balei dając jej kopniaka.

Podeszła do okna w kuchni, umieszczonego tuż nad ziemią, i popatrzyła na chłopców bawiących się w gliniance, ubabranych błotem — lepili woły z gliny, potem suszyli je na słońcu — i nie znalazła powodu, aby ich zburzyć. Znow łóżko o drewnianych prętach zaprzętnęło jej myśli. W duchu zwymyślała Fabiana. Spali na nim tak dawno, że przyzwyczaili się do niego, ale byłoby przyjemniej położyć się na łóżku ze skóry, jak inni ludzie.

Już przeszło od roku mówiła o tym mężowi. Z początku Fabiano przyznał jej słuszność i zabrał się do obliczania kosztów nowego łóżka. Ale jego kalkulacje zarówno co do skóry jak i ramy drewnianej, na której skóra miała być rozciągnięta, były zupełnie fałszywe. Mogliby jednak nabyć ten upragniony sprzęt, oszczędzając na ubraniu i na nafcie. Sinia Vitoria odpowiedziała, że to

niemożliwe, ponieważ i tak są nędznie odziani; chłopcy chodzą nago, a spać kładą się wszyscy wcześniej, gdy tylko ciemność zapada. Prawdę powiedziawszy, prawie wcale nie zapalali światła w domu. Rozważali wspólnie, jakie inne wydatki mogliby zmniejszyć. Ponieważ nie doszli do porozumienia, sinia Vitoria napomknęła z goryczą o pieniądze, które mąż jej przepuścił w mieście na wódkę i na karty. Fabiano, urażony, wypomnił jej lakierowane pantofle, bardzo drogie, a właściwie zupełnie niepotrzebne, gdyż kładła je tylko w dni uroczyste i wtedy potykała się, dreptała jak papuga, była po prostu śmieszna. Sinia Vitoria poczuła się poważnie obrażona tym porównaniem i gdyby nie szacunek, jaki wzbudzał w niej Fabiano, byłaby go zwymyślała. Rzeczywiście, pantofle ścisnęły jej palce, uwierały ją i spowodowały odciski. Na wysokim obcasie nie mogła utrzymać równowagi, kulała, nogi się pod nią uginały. Musiała naprawdę wyglądać śmiesznie, czuła to; niemniej uwaga Fabiana bardzo ją dotknęła.

Otrząsnęła się z tego przykrego wspomnienia, napawającego ją niesmakiem, i obraz łóżka znów stanął jej przed oczami.

Teraz myślała o nim ze złością. Uważała je za nieosiągalne, a przecież było ono naturalnym dopełnieniem domu.

Weszła do izby, gdzie Fabiano chrapał w hamaku, wzięła z wnęki ściennej fajkę i wysuszone liście tytoniu i wyszła na werandę. Gdzieś od strony rzeki zadźwięczała kołatka krasuli. Może Fabiano zapomniał, że miał krowę leczyć. Pomyślała, że trzeba go obudzić i przypomnieć o tym. Ale spojrzała na szikisziki i mandacaru, wyraźnie odznaczające się na równinie, która rozciągała się naokoło, i inna myśl zaprzętnęła jej głowę.

Wypalona ziemia dyszała gorącym oparem. Sinia

Vitoria przypomniała sobie suszę i zadrżała, ciemna jej twarz przybladła, czarne oczy rozszerzyły się przerażeniem. Wysiłkiem woli postarała się odsunąć wspomnienie klęski, by nie przywołać jej znów do rzeczywistości. Odmówiła cichutko Ave Maria i uspokoiła się. Uwagę jej przyciągnął teraz widok dziury w płocie ogradzającym mały curral dla kóz. Pokruszyła w grubych dłoniach liść tytoniu, napełniła nim glinianą fajkę i poszła naprawić płot. Po chwili wróciła na werandę, okrążyła dom z drugiej strony i weszła do kuchni.

— A może Fabiano zapomniał o krasuli...

Przykucnęła przed paleniskiem, pogrzebała łyżką w ogniu, wyciągnęła żarzący się węgielek, przypaliła nim fajkę i zaczęła ssać bambusowy ustnik pełen nikotyny. Plunęła przez okno aż na podwórko. Kiedy zamierzała plunąć po raz drugi, myśl jej, idąc dziwnymi drogami, skojarzyła tę czynność ze wspomnieniem łóżka. Jeśli i tym razem uda się plunąć aż na podwórko, to znak, że kupią łóżko jeszcze przed końcem roku. Napełniła usta śliną, pochyliła się do przodu — i nie osiągnęła celu. Kilka razy próbowała, ale zawsze na próżno. Tylko gardło jej wyschło. Podniosła się zniechęcona. Nie, to na nic, to zupełnie głupie.

Poszła do kąta, gdzie stało gliniane naczynie z wodą, objęte żelazną obręczą na trzech nóżkach, i wypila cały kubek niesmacznej, słonawej wody.

—Eeech!...

Teraz powstały w jej umyśle jednocześnie dwa obrazy, które przenikały się wzajem i zacierały: garnki z gotującą się strawą i naczynia pełne wody. Przytknęła palec wskazujący do czoła i skupiła się, niepewna, o czym to właściwie myśli. Spojrzała na ziemię, starając się sobie coś przypomnieć, wzrok jej padł na własne stopy, szerokie, płaskie, z rozstawionymi palcami. I nagle wróciły

oba obrazy jasne, niezmacone: woda w zbiorniku wysycha i jedzenie w garnku nie zostało przyprawione.

Podniosła glinianą pokrywę garnka, obłok pary buchnął jej w twarz. Mało brakowało, a jedzenie by się przypaliło. Wlała trochę wody do garnka i zamieszała czarną warzachwią, zrobioną ze skorupy orzecha kokosowego. Potem spróbowała gotującej się strawy. Mdła, bez żadnego smaku, niby jedzenie dla dzikusów. Podeszła do małego wzniesienia przy ścianie, na którym stały różne przybory kuchenne i leżały półcie suszonego mięsa, wzięła z puszki garść soli i wrzuciła do garnka.

Teraz pomyślała o zbiorniku z wodą, ciemną cieczą, od której odrzucało nawet zwierzęta. Bała się jednej tylko rzeczy — suszy.

Znów spojrzała na swe rozklapane stopy. To prawda, że nie mogła przyzwyczać się do obuwia, mimo to rozgryczyły ją drwiny Fabiana. Chód jak u papugi. No, tak, miał rację, proste baby tak właśnie chodzą. Ale po cóż ją tak zawstydział i wykpiwał? I znów złość ją ogarnęła na to porównanie.

Biedna papuga. Wędrowała z nią razem w klatce kołyszącej się na blaszanej bau na jej głowie. Od czasu do czasu bełkotała: „Moje ptaszysko“... Tylko to umiała wy mówić. Prócz tego przedrzeźniała Fabiana, gdy poganiał woły, i szczekała jak Baleia. Biedaczka! Sinia Vitoria nie chciała teraz nawet myśleć o niej. Wykreśliła z pamięci przeszłość, jakby życie zaczęło się dopiero z chwilą przyjscia na fazendę. Przytyk Fabiana dotyczący pantofli otworzył w jej sercu zabliznioną już ranę — cała męka wędrówki odżyła w niej na nowo. Tropy zdarły się jej zupełnie na ostrych kamieniach. Ledwie żywa z głodu i zmęczenia, dźwigała młodszego chłopca, a na głowie niosła blaszaną bau i klatkę z papugą. Fabiano był bardzo niedobry.

— Niewdzięcznik!

Znów spojrzała na swe stopy. Biedny ptak. Zabiła go na brzegu rzeki z konieczności, żeby nakarmić głodną. Wtedy właśnie papuga złościła się, wpatrywała się w Baleię swymi nieruchomymi źrenicami, podskakując śmiesznie jak wiejskie baby w dni świąteczne. Po co Fabiano wywołał w niej to wspomnienie?

Podeszła do drzwi i spojrzała na żółte liście catin-geirów. Westchnęła. Niechże Pan Bóg nie dopuści do nowej klęski. Pokręciła głową i zabrała się do różnych domowych czynności, aby odpędzić czarne myśli. Wzięła wielką cuję, poszła do glinianki, naląła kurom wody do wyszczerbionej miski i poprawiła im grzędę. Potem wyszła na placyk od strony podwórka, podlała goździki i piołun. W końcu kazała dzieciom iść do domu, bo były unurzane w glinie aż po czubki włosów.

— Bezwstydniki! Świnie! Ubabrane jak...

Nie dokończyła. Chciała powiedzieć, że byli brudni jak papugi.

Malcy uciekli, przycupnęli w rogu izby na macie, a sinia Vitoria wróciła do paleniska i zapaliła powtórnie fajkę. Jadło skwierczało na ogniu; ciepły wiatr wpędzał kurz do izby i chwiał zwieszającymi się u sufitu pajęczynami, gęsto pokrytymi sadzą. Baleia pod ścianą drapała się i kłapała usiłując łapać muchy. Wyraźnie słyhać było miarowe chrapanie Fabiana i ten rytm działał kojąco na sinię Vitorię. Fabiano chrapał beztrosko. Pewnie więc nie ma żadnego niebezpieczeństwa, susza nieprędko jeszcze ich nawiedzi.

I znów sinia Vitoria puściła wodze marzeniom o łóżku ze skóry. Ale marzenia te łączyły się ze wspomnieniem o papudze i musiała zrobić duży wysiłek, by z tej gmatwaniny myśli wyłączyć przedmiot swego pożądania.

Wokół było spokojnie i cicho. Śpiący Fabiano, trzaskający ogień, dźwięki kołatek, nawet brzęczenie much — napawały ją uczuciem stałości i pewności. Czyż ma spać przez całe życie na łóżku z drewnianych ~~po stronie~~ samym środku tego łóżka sterczał sęk, tak że żadne z nich nie mogło się tam wyciągnąć, musieli leżeć każde po swojej stronie. Z początku nie robiło jej to żadnej różnicy. Po pracowitym dniu upadała ze zmęczenia, mogłaby spać nawet na gwoździach. Ale później zaczął się okres dobrobytu. Mieli jedzenia pod dostatkiem, utyli, dobrze wyglądali. Nie posiadali nic własnego; gdyby mieli się stąd wynosić, zabraliby ze sobą tylko trochę łachów, w które się odziewali, strzelbę-skalkówkę, blaszaną baw i kilka drobiazgów. Ale żyli, dzięki Bogu, gospodarz powierzył im opiekę nad bydłem i czuli się prawie szczęśliwi. Brakowało im tylko łóżka, co gnębiło sinię Vitorię. A ponieważ już nie potrzebowała wykonywać ciężkiej, męczącej roboty, część nocy spędzała na marzeniach i rozmyślaniach. Zwyczaj kładzenia się spać o zmierzchu był także niemądry, bo przecież człowiek nie jest kurą.

W tym miejscu myśli sinii Vitorii pomknęły innym torem, by po krótkiej chwili nawrócić do pierwotnego tematu. Przecież dropiatą kurę pożarł lis. Naturalnie musiał właśnie wybrać najtłuściejszą. Postanowiła blisko grędy zastawić żelaza na szkodnika. Złość ją ogarnęła. Zapłaci złodziej za dropiatą kurę.

Chrapanie Fabiana stawało się nie do zniesienia i powoli złość sinii Vitorii zaczęła się znów zwracać przeciw niemu. Na całym świecie nie ma nikogo, kto by tak chrapał. Dobrze by było pójść teraz poszukać jakiegoś gładkiego pręta, aby zastąpić ten przeklęty kij z sękiem, który tak przeszkadza rozciągnąć się na łóżku. Dlaczego dotąd nie usunęli tego niewygodnego drażniącego? Westchnęła... Trudno im było powziąć stanowczą decyzję. Cierpliwości! Le-

piej zapomnieć o sęku i myśleć o takim łóżku, jakie ma pan Tomas od kieratu? Pan Tomas miał prawdziwe łóżko, zrobione przez stolarza, z jasnopopielatego drzewa: na podłozkach opierała się rama z desek pięknie heblem wygładzonych, na niej rozciągnięta surowa skóra, dobrze gwoździami przytwierdzona, wszystko dopasowane i porządnie wykończone. Na takim łóżku przyzwoity chrześcijanin mógł śmiało wyciągnąć swe kości.

A gdyby tak sprzedać kury i koziołka? Na nieszczęście, przeklęty lis pożarł dropiatkę, najtłuszczejszą z kur. Trzeba koniecznie dać mu dobrą nauczkę. Zastawi żelaza tuż przy grzędzie i połamie kości temu bezwstydnikowi.

Podniosła się, poszła po coś do izby, ale zapomniała po co, wróciła zniechęcona i rozdrażniona. Straciła chyba głowę czy co?

Usiadła zasepiona na niziutkim parapecie kuchennego okna. Sprzeda kury i kozłaka, przestanie kupować naftę. Nie będzie radziła się Fabiana, bo on zawsze tylko zapala się do nowej myśli, układa plany, a potem szybko ostyga w zapale. Marszczyła czoło, zatroskana, czując, że mężowi wystarczy sama myśl o łóżku. A sinia Vitoria nie chce przestać na marzeniu, chce mieć rzeczywiste łóżko, prawdziwe łóżko z jasnego drzewa i surowej skóry, takie samo, jakie miał pan Tomas od kieratu.

M Ł O D S Z Y C H Ł O P I E C

Ta śmiała myśl zaświtała w głowie malca nagle pewnego popołudnia, gdy Fabiano osiodłał kasztanek i zabierał się do ujeżdżania jej. Właściwie nie była to nawet myśl, lecz niejasne pragnienie dokonania jakiegoś bohaterskiego czynu, który by zdumiał i przeraził brata i sukę Baleię.

W owej chwili Fabiano wzbudzał w nim zachwyt i podziw. Ubrany od stóp do głów w skórę — buty i spodnie, kaftan i napierśnik — wydał mu się najważniejszym człowiekiem na świecie. Po całym podwórku rozlegał się dźwięk jego ostróg; rondo wielkiego kapelusza, odrzuconego w tył i trzymającego się na rzemyku podpiętym pod brodę, tworzyło olbrzymi krąg wokół jego głowy; dzięki temu spalona przez słońce i wiatry ciemna twarz wydawała się znacznie większa.

Klacz była już osiodłana, strzemiona związane leżały na jej grzbiecie, a sinia Vitoria schwyła zwierzę mocno za górną wargę, by je w ten sposób uspokoić. Vaqueiro dociągnął popręg i wolno obchodził zwierzę wokoło, sprawdzając rynsztunek. Spokojnie i bez pośpiechu obrócił się na miejscu, by uniknąć kopnięcia — kopyta klaczy musnęły mu tylko skórzany kaftan na piersiach. Następnie Fabiano wszedł na schodek ganku, stąd wskoczył na siodło, kobieta odsunęła się i — zawirowało, zakotłowało się w catindze, jakby huragan rozszalał się po niej.

Malec wdrapał się na furtkę ogrodzenia, z przejęcia zaciskał z całych sił spotniałe dłonie. Wyciągnął szyję wpatrując się z zaniemieniem w kurzawę, która przysłoniła słońce. Wiedział tak nieruchomo chyba wiek cały, fale niepokojów i radości na przemian zalewały mu duszę, aż wreszcie klacz z powrotem wpadła niby burza na podwórko i tam zaczęła kręcić się i miotać jak opętana, skacząc, wierzgając i stając dęba. Nagle popręg pękł i jeździec wraz z siodłem runął na ziemię. Malec krzyknął z przerażenia i omal nie spadł z furtki. Ale w tej samej prawie chwili zastygł w podziwie: Fabiano skoczył na równe nogi i szedł już teraz spokojnie ku gankowi z siodłem przewieszonym przez ramię. Strzemiona rozerwały się podczas szalonej jazdy i rozkołysane uderzały jedno o drugie, ostrogi dźwięczały za każdym krokiem vaqueira.

Sinia Vitoria siedziała spokojnie na ganku z fajką w zębach i szukała starszego syna. Młodszy, przejęty bohaterstwem ojca, nie mogąc się pogodzić z obojętnością reszty rodziny wobec tego wspaniałego wyczynu, pobiegł obudzić Baleię, która wylegiwała się nie opodal, bezwstydnie pokazując swój różowy brzuszek. Suka otworzyła leniwie jedno oko, po czym wsparła łeb na kamieniu służącym do ostrzenia noża i ponownie zapadła w drzemkę.

Jej głupota i obojętność oburzyły go, urażony podszedł do matki i pociągnął ją za rękaw chcąc podzielić się świeżym wrażeniem. Ale sinia Vitoria odburknęła coś niechętnie, a gdy nalegał, zniecierpliwiona dała mu kusańca w głowę.

Odsunął się zniechęcony i przystanął pod jednym ze słupków ganku. Cały świat wydał mu się głupi i zły. Poszedł do małego curralu, gdzie kozy, owce i barany pobekiwały i parskały, podnosząc do góry pyszczki i marszcząc czarne nosy. Ten widok był bardzo zabawny i sprawił, że w chłopcu zmalowało uczucie przykrości, wywołane

głupotą Balei i złym humorem sinii Vitorii. A równocześnie wzrastał podziw, jaki wbudował w nim Fabiano.

Już zapomniał, że spotkał się z ciekawością i niechęcią otoczenia — gorące uwielbienie wypełniło mu serce po brzegi. Choć bał się ojca, przysunął się jednak do niego, otarł o skórzane buty i spodnie, dotknął ręką kaftana. Spodnie, kaftan, napierśnik, rzemyk od kapelusza i ostrogi wprawiały go w zachwyty.

Fabiano odsunął go z roztargnieniem, wszedł do izby i zaczął zrzucać z siebie wszystkie te wspaniałości.

Malec położył się skulony na macie i zamknął oczy. Ojciec był wspaniały. Tu, w domu, gdy zdjął skórzane ubranie, malał w oczach syna i tracił na ważności, ale na grzbiecie kasztanki przerażał go swą wielkością.

Usnął. Wiatr wznosił tumany kurzu, który osiadał na liściach drzew, sinia Vitoria wyszukiwała gnidy w czuprynie starszego syna, Baleia spała z głową wspartą na kamieniu do ostrzenia noży.

Następnego dnia nic z tych wrażeń nie pozostało w pamięci malca. Juazeiry na końcu podwórka odróżniały się kolorem od innych drzew, były ciemniejsze. Dlaczego?

Stanął przed mniejszym ogrodzeniem, gdzie stary kozioł beczał i parskał wydymając chrapy i to przypomniało mu przeżycia poprzedniego dnia. Pochylił się i wypatrując na ziemi śladów kopyt kasztanki doszedł aż do juazeirów.

Podczas posiłku sinia Vitoria upominała go kilka razy, wreszcie powiedziała:

— Ten szczeniak ma źle w głowie.

Wstał od stołu, wyszedł z kuchni do izby, gdzie w kącie wisiało całe skórzane ubranie ojca, chwilę przyglądał mu się z zachwytem, potem podreptał do małego curralu i tam nagle zrodziła się ta śmiała myśl w jego głowinie.

Odwrócił się w stronę domu, poczuł ochotę zwierzenia

się komuś ze swego projektu, ale właściwie nawet nie wiedział, co ma do powiedzenia: poczuł tylko, że on i ojciec...

Obszedł mały curral dokoła, pusząc się niby urubu i udając chód Fabiana.

— Warto by poradzić się brata — błysnęła mu myśl, ale natychmiast zgasła. Brat pewno zacząłby drwić z niego, wyśmiewać się. Powiedziała o wszystkim sinii Vitorii. Malec bał się drwin i sinii Vitorii, bo z pewnością wytargałaby go za uszy, gdyby się dowiedziała, co sobie uplanował.

Oczywiście, że on nie jest Fabianem. Ale gdyby nim był? Trzeba właśnie pokazać, że mógłby stać się Fabianem. Gdyby mógł z kimś porozmawiać, może udałoby się mu wytłumaczyć swą myśl.

Wałęsał się niespokojnie koło curralu aż do chwili, kiedy starszy brat wraz z Baleią pognali kozy do wodopoju. Rozwarła się furтка curralu, buchnęła fala odoru zwierzęcego, zadźwięczały kołatki, bawełniana koszulina mignęła przez podwórko, okrążyła stos kamieni, gdzie rzucano zabite węże, przemknęła koło juazeirów, zbiegła ścieżką z górki i zjawiła się na brzegu rzeki.

Kozy tłoczyły się już przy wodzie spychając się wzajemnie i bodąc rogami; Baleia, zadyszana, biegła wkoło nich szczekając zawzięcie.

Malec wdrapał się na stromy brzeg wysychającej rzeki i z bijącym sercem czekał, aż koziół zejdzie do wody. Czuł, że to, co zamierza, jest bardzo ryzykowne, ale wydawało mu się, że znalazłszy się tu, tak wysoko, stał się nagle dorosłym i teraz już może zmienić się w Fabiana.

Usiadł niezdecydowany. Koziół z pewnością zacznie skakać i zrzuci go na ziemię.

Wstał i odszedł kilka kroków dalej, niemal zapominając o swym zuchwałym zamiarze. Spojrzał w górę,

gdzie stado małych papużek latało nad catingeirami. Zachciało mu się złapać jedną z nich, uwziąć ją na sznurku i dać jej coś zjeść. Zaświstały, uniosły się wysoko i w mgnieniu oka znikły mu sprzed oczu. Malcowi nagle zrobiło się smutno; popatrzył na niebo pokryte białymi obłokami. Niektóre były przez chwilę podobne do baranków, ale zaraz rozplynęły się i zmieniły w jakieś inne zwierzęta. A dwa duże przysunęły się do siebie — jeden wyglądał zupełnie jak kasztanka, a drugi przypominał Fabiana.

Oderwał wreszcie od nich olśnione oczy, przetarł je ręką i zbliżył się powtórnie do brzegu, skąd zobaczył stado zbite w gromadkę przy wodopoju i usłyszał dźwięk uderzeń rogów o rogi. Jeśli kozioł już pił wodę, to wszystko na nic. Spojrzał na swoje cieniutkie nogi, na brudną i podartą koszulinę. Ale jednocześnie poczuł, że nie jest sam, widział przecież nad sobą niebo pełne żywych stworzeń i wierzył, że tajemnicze siły niebieskie dopomogą mu. Uniesie się lekko w powietrze jak papużka na skrzydłach.

Zaczął beczeć niby koza, chcąc przyciągnąć uwagę brata i Balei. Ale natychmiast zamilkł urażony, bo manewr ten nie osiągnął żadnego skutku. Cierpliwości! Zaraz pokaże im obojgu coś nadzwyczajnego, wróca do domu zdumieni i oszołomieni jego wspaniałym czynem.

W tej chwili kozioł podszedł do wodopoju i pochylił nad nim rogaty łeb. Malec błyskawicznie rzucił się w dół ze stromego brzegu i wskoczył okrakiem wprost na grzbiet zwierzęcia.

Ześliznął się, schwycił obu rękami miękkie kudły i na próżno próbował utrzymać równowagę, ściskając piętami brzuch kozła, który zaczął wierzgać, przerzucając chłopca ku przodowi i stając dęba. Chłopak zsunął mu się na zad, potem przechylił na jedną stronę, ale znów gwałtownie podrzucony wrócił do pozycji pionowej i podskoczył kilka

razy, rozkraczywszy nogi, bezradnie machając rękami. Przy gwałtowniejszym skoku zwierzęcia znalazł się raptem znowu na jego szyi, wywrócił koziółka nad jego głowę i rozdarł koszuliną o jeden z koźlich rogów, upadł na wznak na piasek. I leżał tak chwilę rozciągnięty, spokojnie, cichutko, w uszach mu szumiało, w głowie kołatała się niejasna myśl, że z całej tej przygody wyszedł ze skazą na honorze.

Widział nad sobą obłoki sunące po błękitnie nieba i przybierające postaci różnych zwierząt. Poczul do nich złość. Odwrócił oczy w stronę urubu latających nad drzewami. Przypomniały mu ojca, który, ubrany w skórę od stóp do głów, poruszał się ociężale i powoli, zupełnie jak urubu.

Usiadł, pomacał obolałe członki. Koziół podrzucał go bardzo mocno, kto wie, czy nie połamał mu kości.

Spojrzał ze złością na brata i na Baleię. Powinni go byli uprzedzić. Nie okazali mu najmniejszego nawet współczucia: brat pokładał się ze śmiechu, a Baleia siedziała z poważną miną i wyraźnie nie pochwałała całej tej awantury. Poczul się zupełnie opuszczony, nieszczęśliwy, zdany na zły los, wystawiony na bolesne upadki, uderzenia rogami i kopanie.

Żal ścisnął mu serce. Wstał przygnębiony, powlókł się do ogrodzenia, otaczającego wodopój, oparł się o nie i patrzył na mętną, gliniastą wodę. Przez dziurę w rozdarłej koszuli podrapał się cienkimi palcami w chudą pierś. Stado kóz znikło na ścieżce pnącej się w górę, szczekanie Balei dochodziło z daleka. W co przemieniły się teraz obłoki? Pewno jedne były znów podobne do baranków, a inne wyglądały jak jakieś nieznanne zwierzęta.

Stanął mu przed oczyma Fabiano, ale malec nie chciał o nim myśleć. Ani chybi spotka go od rodziców kara za to, co zrobił. Podniósł nieśmiało głowę do góry. Na niebo

wypłynął księżyc i rósł w oczach, obok niego mrugała ledwo dostrzegalna maleńka gwiazdka. O tej porze małe papużki odpoczywały na wyschłym korycie rzeki, kołysząc się na suchych łodygach kukurydzy. Jan...
jedną z nich!

Spuścił głowę i patrzył na ciemne dno kałuży, z której było do ostatniej kropli wypięło wodę. Kilka cieniutkich strumyków przesączało się przez piasek — wyglądały zupełnie jak otwarte żyły zwierzęce. Przypomniało mu to kozy zabite ciężkim drewnianym tłuczkiem, wiszące u stropu ganku głową na dół i ociekające krwią.

Odszedł od wodopoju. Uczucie upokorzenia przepelniające mu duszę ustępowało powoli, aż wreszcie rozwiało się zupełnie. Trzeba teraz wrócić do domu, zjeść obiad i położyć się spać. A przecież kiedyś wreszcie będzie dorosłym jak Fabiano, będzie zabijał kozy drewnianym tłuczkiem, nosił u pasa ostry nóż, wyciągnie się na łóżku z drewnianych prętów, zapali papierosa i włoży na nogi buty z surowej skóry.

Wspinał się powoli po ścieżce prowadzącej do domu, szedł ociężale, mocno uginając nogi w kolanach. Kiedy będzie dorosłym mężczyzną, będzie tak właśnie chodził, ciężko, powoli, kołysząc się na pałakowatych nogach, dzwoniąc ostrogami, wtedy dopiero będzie kimś ważnym. Wskoczy na grzbiet dzikiego konia i pomknie w catingę jak huragan, wznosząc za sobą tumany kurzu. A gdy wróci, zeskoczy z konia na równe nogi i przejdzie przez podwórko tak właśnie ociężale, cały w skórze — buty, spodnie, kaftan, napierśnik i kapelusz z rzemykiem pod brodą. Starszy brat i Baleia będą patrzyli na niego z podziwem.

A wszystko to zdarzyło się dlatego, że sinia Vitoria nie chciała porozmawiać ze starszym synem. Chłopiec nigdy nie słyszał o piekle, więc zdziwił się bardzo, gdy sinia Terta wymówiła ten nieznany wyraz, i prosił o wyjaśnienie. Sinia Vitoria wspomniała od niechcienia, że to takie bardzo złe miejsce, a gdy chłopak chciał usłyszeć coś więcej, wzruszyła niechętnie ramionami.

Poszedł do izby spytać o to ojca, który siedział na ziemi i rozwijał kawał grubej surowej skóry.

— Postaw tu nogę.

Chłopak spełnił rozkaz ojca i Fabiano zdjął mu miarę na trepy oznaczając nożem położenie pięty z jednej strony, a dużego palca z drugiej. Następnie obrysował kształt stopy i klasnął w dłonie.

— Zmykaj!

Chłopiec odsunął się trochę, ale nie wyszedł z izby; przez chwilę kręcił się koło ojca, w końcu nieśmiało zaryzykował pytanie. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi wrócił do kuchni i uwiesił się u matczynej spódnicy.

— Jakie jest piekło?

Sinia Vitoria mruknęła coś o rozżarzonych do czerwoności roznach i wielkim ogniu.

— Mama widziała?

Ale tu już sinia Vitoria rozgniewała się, krzyknęła, że jest nieznośny, i dała mu kuksańca w głowę.

Chłopa dotknęła boleśnie niesprawiedliwość; wybiegł z domu i zaszył się między zwiedłe catingeiry na brzegu wyschniętego jeziora.

Baleia nie opuściła przyjaciela w tym jego przeżyciu. Leżała przy palenisku i drzemała czekając na wymarzoną kość, której prawdopodobnie nawet nie było w garnku. Zresztą dobrze jej było w ciepłe ogniska. Od czasu do czasu poruszała się i wlepiała w panią swe czarne źrenice, pełne ufności. Wierzyła, że w garnku gotuje się wielka kość, nic nie mogło zachwiać jej w tym przekonaniu, żaden najmniejszy nawet niepokój nie mącił jej skromnego marzenia. Nawet kopniaki, które dostawała bez powodu od sinii Vitorii, nie były dla niej niespodzianką i bynajmniej nie rozwiewały ponętnego obrazu kości.

Tego dnia ostry głos sinii Vitorii wyrwał ją ze słodkiej drzemki, a kuksaniec, którego oberwał starszy chłopiec, wzbudził w niej podejrzenie, że zanoszą się na coś niedobrego. Schowała się przezornie w kąt kuchni za drewniany tłuczek, służący do miażdżenia ziaren kawy, i skuliła się tam, wśród różnych koszyczków i zawiniątek. Po chwili podniosła pyszczek i próbowała zorientować się w sytuacji. Ciepły wiatr wiejący od strony jeziora wpłynął na jej postanowienie: prześliznęła się cichutko wzdłuż ściany, wyskoczyła przez niskie okno kuchenne, przemknęła przez podwórko i w cieniu catingeirów wpadła na swego przyjaciela, który zalewał się łzami. Zaczęła skakać koło niego, machać ogonem i łasić się, by ulżyć mu w cierpieniu. I jej również nie było lekko na duszy, ale ostatecznie nie miała powodu do wielkiego zmartwienia. A ponieważ nie zbywało jej na cierpliwości, więc póty skakała z wywieszonym językiem koło szlochającego chłopca, aż wreszcie udało jej się przekonać go, że nie warto płakać.

Usiadł na ziemi, ułożył sobie między kolanami głowę suki i zaczął cichutko coś jej opowiadać; zasób jego słów był bardzo ubogi, ale wniósł się niemal ilości wyrazów, które przypominał mawiac papuga zjedzona podczas wędrówki przez wyschniętą catingę. Ale dopełniał słowa wykrzyknikami i gestami, a Baleia odpowiadała ogonem i jęzorem — ruchami, które można było łatwo zrozumieć.

Wszyscy go opuścili, psina była jedynym żywym stworzeniem, które okazywało mu zrozumienie i uczucie. Poglaskał ją chudymi i brudnymi rączynami, a ona przytuliła się do niego mocno, czując przyjemne ciepło — takie, jakie ogarniało ją, gdy leżała przy palenisku.

Pieścił ją coraz silniej, przysunął tuż do jej pyszczka swą twarzyczkę umorusaną błotem i patrzył jej głęboko w spokojne i łagodne oczy.

Siedzieli razem z bratem w gliniance lepiąc z błota różne zwierzęta, gdy nagle porzucił zabawę i pobiegł do matki, by zadać jej to nieszczęsne pytanie. I tu dopiero zaczęła się prawdziwa bieda. A wszystkiemu winna była sinia Terta. Poprzedniego dnia przyszła do nich, by miodami wyleczyć Fabiana, który skarżył się na ból w piersiach. Gdy skończyła zamawianie choroby, z jej bezzębnych ust trzymających fajkę padło z sykiem jakieś dziwne słowo. Chciał, żeby to słowo przyjęło kształt jakiejś rzeczy, by stało się czymś konkretnym, i poczuł się bardzo zawiedziony, gdy matka odpowiedziała mu, że to jest takie jedno straszne miejsce, pełne rozżarzonych różnów i wideł, gdzie pali się ciągle, bez przerwy wielki ogień. Nalegał, żeby mu jeszcze coś o tym opowiedziała, bo miał nadzieję, że może dalsze jej słowa wywołają w jego wyobraźni jakiś inny obraz.

Wszystkie znane mu miejsca były dobre. Mały curral dla kóz, drugi wielki curral, glinianka, podwórko, wodopój — to był świat pełen istot realnych, prawdziwych,

a składały się nań: rodzina vaquero i zwierzęta fazendy. Oprócz tego tam, daleko, były nieskawe góry, tu bliżej — pagórek, który odwiedzała Ba... polując na różne małe gryzonie; w catindze wiły się prawie nie... ścieżki, rosły kępy krzewów i gęste zarośla, przez które przejść było niepodobieństwem, w catindze roił się cały świat żywych kamieni i roślin, które zachowywały się zupełnie tak samo jak ludzie. Te dwa światy żyły ze sobą w pokoju i przyjaźni, czasem nawet zacierały się granice między nimi, mieszkańcy obu stron doskonale się rozumieli i pomagali sobie nawzajem. Rozumie się, że wszędzie istniały złe siły, ale zawsze bywały pokonywane. Kiedy Fabiano ujeżdża dzikie konie, nie ulega żadnej wątpliwości, że jakaś opiekuńcza istota przytrzymuje go na siodle, prowadzi bezpiecznymi drogami, usuwa przed nim gałęzie i groźne kolce.

Nie zawsze jednak stosunki między ludźmi a różnymi innymi stworzeniami były takie przyjazne. Dawniej, niegdyś, ludzie musieli wędrować głodni i zmęczeni. Sinia Vitoria szła z młodszym synem, siedzącym okrakiem na jej biodrze, i blaszaną bau na głowie; Fabiano niósł na ramieniu strzelbę-skałkówkę; na wyleniałych bokach Balei można było policzyć wystające zebra. On, starszy chłopiec, upadł na ziemię, która parzyła mu stopy. Zrobiło mu się nagle ciemno w oczach, dokoła poznikały mandacurusy. Nie czuł nawet, jak ojciec bił go pochwą ostrego noża.

Wtedy to świat był zły. Ale później zrobił się lepszy, a te złe rzeczy tak minęły, jakby nigdy nie istniały. Na drewnianych prętach kuchennych półek leżały jedne na drugich półcie wysuszonego mięsa i kawały słoniny. Pragnienie przestało być udręką całej rodziny, nad wieczorem otwierało się furtkę małego curralu, a kozy i owce biegły do wodopoju. Kości i kamienie porozrzucone po

catindze zmieniły się w w obrazach. W stworzenia, które zaludniały daleki, góry, bliski pagórek i zarośla macambiry.

... umiał dobrze mówić, wyjąkiwał więc jakieś skomplikowane wyrazy, powtarzał sylaby, udawał głosy zwierząt, szum wiatru, szelest liści i skrzyp gałęzi w catindze. A teraz postanowił sobie nauczyć się jednego wyrazu z pewnością bardzo ważnego, bo wymówiła go sinia Terta. Zapamięta go i powtórzy bratu i Balei. Suka przyjmie obojętnie to nowe słowo, ale brat na pewno zachwyci się i będzie mu zazdrościł.

— Piekło, piekło.

Nie wierzył, żeby taki piękny wyraz miał oznaczać coś złego. I dlatego upierał się, by wyjaśnić tę sprawę z sinią Vitorią. Gdyby mu powiedziała, że ona sama była w piekle — dobrze. Sinia Vitoria jest osobą ważną, jest niezaprzeczenie władzą, widoczną i potężną. Gdyby wymieniła jakąkolwiek inną, jeszcze potężniejszą władzę — choćby nawet niewidoczną — bardzo dobrze.

Ale ona myślała, że go przekona kuksańcem w głowę i takie postępowanie wydało mu się niemądre. Uważał za rzecz całkiem naturalną, że dostaje po uszach i po głowie, gdy dorośli gniewają się na niego, był nawet pewny, że to jedynie dzięki ich złości istnieją na świecie kuksańce i targania za uszy. To przekonanie sprawiało, że był nieufny w stosunku do rodziców, zwykle uważnie obserwował ich przez chwilę, zanim się do nich zwrócił. Dziś zauważył, że sinia Vitoria jest w dobrym humorze, i dlatego tylko odważył się zadać jej to nieszczęsne pytanie. Wszystko to wyłożył Balei posługując się wykrzyknikami i ruchami rąk. Baleia nie cierpiała gwałtownych wybuchów: przeciągnęła się, zamknęła oczy i ziewnęła. Dla niej kopniaki stały się w życiu czymś nieodzownym, choć nieprzyjemnym. Jedynym sposobem uniknięcia ich była

ucieczka. Ale czasami spała i na nią nieoczekiwanie, czubek nogi w sandale raptem uderzał ją w zad — wtedy szczerkając uciekała w zarośla, tam chowała się dopóty, póki nie przygasła w niej chęć złapania zę... łydkę. To wzburzenie przyjaciela uważała za zupełnie niemądre. Przeciągnęła się i ziewnęła powtórnie. Dobrze byłoby się zdrzemnąć.

Chłopak pocałował ją w wilgotny pyszczek i przytulił do siebie. Wyobraźnia jego zaczęła krążyć wokół niebieskawego pasma dalekich gór i zarośli. Ojciec mówił, że w górach są legowiska pum. A z gęstwiny makambiry, najeżonej kolcami, wysuwają się płaskie głowy węży.

Zacisnął chude dłonie, potem wydlubał sobie brud zza paznokci. Przez chwilę myślał o figurkach zwierząt, które zostawił w gliniance, ale to nasunęło mu przypomnienie nieszczęsnego wyrazu „piekło“. Starał się przytłumić w sobie tę zgubną ciekawość, udawał sam przed sobą, że o nic matki nie pytał, a co za tym idzie — że nie dostał od niej kuksańca.

Wstał z ziemi. Zobaczył okno kuchenne, a przez nie kok sinii Vitorii i ten widok znowu wzbudził w nim przykre myśli. Usiadł pod innym drzewem, skąd widział góry tonące w obłokach. W miarę jak się ściemniało, góry łączyły się z niebem i gwiazdy świeciły wtedy na górach. Czyż to możliwe, aby gwiazdy chodziły po ziemi?

Psina przybiegła w podskokach, obwąchała go, polizała mu rękę i zwinęła się przy nim w kłębek.

Jak to jest, że gwiazdy chodzą po ziemi?

Zrobiło mu się smutno. Może sinia Vitoria powiedziała prawdę. W takim razie piekło jest pełne węży i pum, a ludzie, którzy tam mieszkają, obrywają za uszy i dostają kuksańce po głowach i uderzenia pochwami noży.

Mimo że zmienił miejsce, nie mógł się jednak pozbyć uczucia obecności matki. Powtarzał sobie, że nic się nie

zdarzyło i starał się myśleć tylko o gwiazdach, które świeciły na górach. Na pewno. O tej porze gwiazdy już po-

Poczuł się słaby i bezbronny, spojrzął na swoje cienkie ręce, na chude palce, zaczął rysować na ziemi jakieś tajemnicze wzory. Dlaczego sinia Vitoria tak się z nim obeszła?

Uścisnął Baleię z gwałtownością, która wywołała w niej niezadowolenie. Nie lubiła, gdy ją ściskano, wołała swobodę, wołała skakać i tarzać się po ziemi. Marszczyła nos wężąc gotującą się strawę i wcale nie pochwalała dziwnego zachowania się przyjaciela. Duża kość to wypływała na wierzch, to opadała na dno garnka. Ten ponętny obraz nie opuszczał jej ani na chwilę.

Chłopiec wciąż mocno przyciskał ją do siebie i Baleia kuląc się, aby go nie urazić, poddawała się biernie temu wybuchowi serdeczności. Bił od chłopca miły, ciepły zapach, ale mieszał się z wyziewami kuchni. Na pewno była tam kość. Duża kość z kawałkiem mięsa i w dodatku pełna szpiku.

Cała rodzina była zgromadzona przy palenisku. Fabiano siedział na wywróconym wielkim tłuczku drewnianym, a sinia Vitoria na ziemi. Skrzyżowała nogi tak, że jej uda służyły chłopcom za poduszki. Baleia siedziała wyprostowana i patrzyła uważnie na żarzące się węgle, które powoli rozsypywały się w popiół.

Na dworze było bardzo zimno, z okapu spływały strugi deszczu, wiatr szarpał konary catingeirów, a szum rzeki urastał chwilami do odgłosu dalekiego grzmotu.

Fabiano miał minę zadowoloną, zacierał ręce i końcem sandała poruszał węgielki, które otrząsnęły z siebie popiół, rozżarzyły się i zatoczyły słaby krąg światła wokół kamieni paleniska, wydobywając z ciemności zarys nóg vaqueira, kolan kobiety i postaci leżących chłopców. Od czasu do czasu malcy poruszali się, bo żar paleniska dawał mało ciepła, grzał ich tylko z jednej strony, a z drugiej dmuchało zimne powietrze, wdzierające się przez szczeliny w ścianach i szpary w oknie. Dlatego nie mogli spać; ilekroć zasypiali, silniejszy podmuch przejmował ich dreszczem, musieli zmienić pozycję i zbliżyć się do paleniska, a wtedy przysłuchiwali się rozmowie rodziców. Właściwie nie była to nawet rozmowa, tylko luźne zdania, pełne powtarzań i niedomówień, wypowiedane w pewnych odstępach czasu, niekiedy głośniejszy gardłowy wykrzyknik dodawał siły temu dziwnemu dialogowi. Żadne

z nich nie słuchało tego co mówiło drugie, po prostu starali się szkicować obrazy tłoczące się w ich umysłach, niewyraźne, szkieletowe i zmienne, a których nie potrafili wyrazić na tyle, by móc je określić. Mówili bardzo głośno, starając się w ten sposób bodaj częściowo zaradzić brakowi środków wysławiania się.

Fabiano zaczął opowiadać jakąś bardzo zawiłą historię, powtórnie zacierając ręce; ale ruch ten uszedł uwadze słuchaczy, bo żar paleniska oświecał tylko trepy vaqueira. Starszy chłopiec uniósł głowę, by nic nie stracić ze słów ojca. Gdyby mógł widzieć jego twarz, może udałoby mu się zrozumieć choć część tego opowiadania, lecz sens słów płynących z ciemności był dlań zupełnie nieuchwytny. Wstał i poszedł w kąt kuchni, skąd przyniósł naręcze drzewa. Sinia Vitoria mruknęła coś na to z uznaniem, ale Fabiano rozgniewał się uważając, że chłopiec okazał mu swym czynem brak szacunku, i wyciągnął ramię, by go ukarać. Malec wysliznął się ojcu i schował w spódnice matki, która otwarcie wzięła jego stronę.

— Hm! hm! Jaki srogi!

Fabiano bardzo łatwo dawał się unieść gniewem.

Ten człowiek całe życie był taki: z byle powodu wybuchał jak proch.

Przemieszała węgielki trzonkiem warząchwii, uporządkowała pomiędzy kamieniami kupki popiołu i usiłowała rozpaść ledwie tłące się ognisko. Fabiano przerwał gadaninę, by jej w tym pomóc: stanął na czworakach i zaczął z całych sił dmuchać w węgielki, mocno wydymając policzki. Dym napełnił kuchnię, wszyscy rozkasłali się i ocierali łzy z oczu. Sinia Vitoria poruszyła kilka razy miechem i po krótkiej chwili ogniste języki zaczęły lizać kamienie paleniska.

Krąg światła powiększył się teraz, z ciemności wyłoniły się wyraźnie postaci, oblane czerwonym światłem.

Fabiano był widoczny od pasa do stóp, wyżej tonął w mroku poprzecinany słabymi pasmami blasku.

Fabiano był w dobrym humorze. Już od kilku dni wzbierająca wciąż woda rzeki pokrywała zalesione na granicy terenu zalewowego i dosięgła grupy catingeirów, które zapewne teraz były już zalane po wierzchołki. Prawdopodobnie tylko liście ich czubów sterczały nad wodą, piana wznosiła się coraz wyżej, obmywając strome stoki wybrzeża.

Wkrótce skończy się żywiołowy pochód wody, ale Fabiano nie myślał o dalszej przyszłości. Tymczasem powódź wzrasta, zabija wszelkie stworzenia w catindze, zalewa rozpadliny i pola uprawne. Doskonale. I Fabiano zacierał ręce z radości. Odsunięta została na jakiś czas groźba suszy, która od kilku miesięcy wisiała nad rodziną vaqueira. Catinga już stawała się żółto-czerwona; bydło zaczynało chudnąć i okropne wizje nieuchronnej klęski nękały ludzi we śnie. Nagle pewnego dnia o północy prawie niedostrzegalny błysk rozdarł niebo od strony górnego biegu rzeki, za nim pojawiły się inne, jaśniejsze, w pobliżu ryknął grzmot i ciemnokrwiste chmury zakłębiły się nad ziemią. Rozpętał się huragan, wyrывał drzewa, błyskawice jedna za drugą przecinały niebo, a sinia Vitoria uciekła do izby wraz z dziećmi, które zatykały sobie uszy i chowały się pod pledy.

Ale burza uspokoiła się tak samo nagle, jak powstała; po chwili lunął deszcz i wkrótce potem pojawiło się czoło powodzi, niosąc na swych falach trupy zwierząt, gałęzie i pnie drzew. Woda wciąż podnosiła się, znikł już pod nią pagórek, na którym stał ich dom, zdawało się, że dojdzie do juazeirów rosnących na końcu podwórka. Sinie Vitorie ogarnęło przerażenie. Czyżby to było możliwe, żeby woda zatopiła juazeiry? A jeśli tak, to zaleje i dom, a oni będą

musieli schronić się na niednie w gorze i tam żyć kilka dni jak dzikie zwierzęta.

Wzdychała grząc w ogniu trzonkiem warząchwii. Złomie z woli, by spadło na nich takie nieszczęście.

— Och!

Dom był mocny.

— Och!

Słupy z twardego drzewa były głęboko wkopane w ziemię. Jeśli woda dotrze do tego miejsca, zmyje tylko glinianą polepę, mocno ubitą między słupami i prętami, tworzącymi drewniany szkielet domu. Bóg nie wypuści ze swej opieki rodziny vaqueira.

— Och!

Drewniane pręty były doskonale przymocowane do słupów mocnymi linami z włókien roślinnych. Szkielet ich domostwa oprze się niewątpliwie wściekłym naporom wody. A gdy wody opadną, cała rodzina powróci do swej siedziby. Tak, będą jakiś czas żyli w catindze jak gryzonie. Ale wrócą, gdy woda opadnie, i wydrapią z glinianki glinę, potrzebną do wypełnienia szkieletu domu.

— Och!

Sinia Vitoria kilka razy silnie poruszyła miechem, by zagłuszyć wciąż wzmagający się szum rzeki. Czyżby woda jeszcze się podnosiła? Miech sapał, a szum wezbranej wody był jak westchnienie, które dochodziło z daleka, przybierało na sile i konało u stóp juazeirów.

Fabiano opowiadał różne swoje przygody. Najpierw były to sprawy zwykłe, zdarzenia, które rzeczywiście mogły mieć miejsce, ale w miarę opowiadania podniecał się, zapalał i przesadzał; stopniowo ogarniała go pewność, że istotnie dokonywał czynów niezwykłych. Łaknął tego przekonania. Właśnie niedawno zdarzył mu się ten nieprzyjemny wypadek, kiedy to na targu policjant-chuchro sprowokował go, potem zbił porządnie i wtrącił do

aresztu. Od tego czasu Fabiano chodził ponury knując zemstę i jednocześnie gryząc się widokiem bydła, które marniało w spieczonej od słońca ciałach. Jeśli przyjdzie susza, to on zostawi kobietę i dzieci, a sam zabije policjanta-chudzielca, potem zabije sędziego i komisarza. I tak przez jakiś czas, ponury, zacięty, przeżywał upokorzenie i gryzł się bliskością suszy. Aż tu nagle odezwały się grzmoty, spadła ulewa i teraz kapie z dachu, a wiatr wciska się przez szczeliny w ścianach.

Więc Fabiano był zadowolony i zacierał ręce. Zbliżył się do ognia, bo robiło się coraz zimniej. Właśnie wymyślił jakąś straszną przygodę; zapomniał już o tym, że był bity i siedział w więzieniu, czuł się teraz zdolny do bohaterских czynów.

Woda wdzieriała się na pogórek, doszła już w pobliże juazeirów. Nic jednak jeszcze nie wskazywało na to, żeby miała dosięgnąć drzew. Fabiano, ufny w doświadczenie starych ludzi, był zupełnie spokojny i opowiadał o niebezpiecznej bójce, z której wyszedł zwycięsko. Ta bójka była jego wymysłem, ale on w nią wierzył.

Krowy skupiły się w części curralu, która znajdowała się najbliżej domu, szukając schronienia przed ulewą; strugi deszczu smagały zwierzęta, kołatki ich dźwięczały. Będą miały wkrótce niebożątka świeżą paszę, nabiorą ciała, dadzą przychówek. Drzewa przystroją się w nowe liście; ziemia pokryje się świeżą zielenią; bydło rozmnoży się. Wszyscy będą dobrze wyglądali, utyje Fabiano i jego żona, obaj malcy i suka Baleia. Może nawet spełni się marzenie sinii Vitorii o skórzanym łóżku. Trzeba rzeczywiście przyznać, że prycza z prętów, na której sypiają, jest bardzo niewygodna.

Fabiano gestykulował. Sinia Vitoria nie przestawała poruszać miechem, chcąc utrzymać ogniste płomyki na wilgotnym drzewie. Chłopcy nie mogli spać, bo z jednego

boku było im ciepło, a drugiego zimno, słuchali więc opowiadania ojca. Zaczęli po cichu sprzeczać się co do pewnego niejasnego zdania, a nie mogąc dojść do porozumienia, podnieśli głosy, pokłócili się i już — już mieli rzucić się na siebie. Fabiano uniósł się gniewem i chciał ich ukarać. Ale opanował się i powtórzył niezrozumiały dla nich urywek używając słów odmiennych.

Młodszy chłopiec zaklaskał w dłonie patrząc na ręce Fabiana, ciemne i czerwone od ognia, żywo poruszające się ponad płomykami. Plecy ojca tonęły w cieniu, a ręce jego, na które padał blask ogniska, miały kolor krwi. Wyglądało to tak, jakby Fabiano przed chwilą obdarł ze skóry jakieś zwierzę. Jego ruda, rozwichrzona broda była niewidoczna, nieruchome, niebieskie źrenice utkwione w żarzących się węglach, twardy, zachrypnięty głos to milkł, to znów się rozlegał. Siedział na tłuczku, zgięty we dwoje, brzydki i niezgrabny; przypominał jakieś ociężałe zwierzę, któremu trudno utrzymać się na dwóch nogach.

Starszy chłopiec był niezadowolony. Nie mogąc dostrzec twarzy ojca, zamykał oczy, by lepiej go słyszeć. Ale nasunęła mu się pewna wątpliwość. Fabiano zmienił nieco swe opowiadanie i to zmniejszyło jego prawdopodobieństwo. Chłopca ogarnęło rozczarowanie. Wyciągnął się i ziewnął. Lepiej byłoby, żeby ojciec powtórzył to zdanie, którego nie zrozumieli. Mógłby wtedy posprzeczać się z bratem tłumacząc mu ojcowskie słowa. Klóćąc się z nim o znaczenie wyrazów sam utwierdziłby się mocniej w przekonaniu, że odgadł ich prawdziwy sens. Fabiano powinien był je powtórzyć. Ale nie. Wymyślił coś nowego, coś zupełnie innego — bohater przez to zmienił się, stał się zwyczajnym człowiekiem. Chłopcu przyszła w tej chwili na myśl stara zabawka, którą kiedyś dostał od pana Tomasa od kieratu. Zamknął oczy i znów otwo-

rzył je, na wpół śpiący. Zziębł mu cały prawie bok, bo silniejszy podmuch wdzierał się teraz przez szczeliny w ścianach. Odwrócił się i fragmenty postaci ojca znikły; zabawka złamała mu się; chłopca ogarnął smutek na widok jej szczątków, które na nic już przydać się nie mogły. Stały mu przed oczyma currale, które z małych kamyczków budował pod catingeirami. Teraz jezioro wezbrało, woda pokryła jego currale. Glinianka także wypełniła się wodą, doszła do ściany kuchni, pewnie połączyła się z jeziorem. Żeby dostać się na podwórko, gdzie stały skorupy z goździkami i piołunem, sinia Vitoria musiała wyjść głównymi drzwiami od ganku i przejść przez boczną furtkę, bo z tyłu za domem płot i catingeiry stały w wodzie. Krople deszczu spadały z okapu, dźwięczały kołatki krów, z oddali dochodził dziwny głos ropuch. Kołatki wydawały swojski, znany odgłos, ale szum kropel deszczowych i rechotanie ropuch to dźwięki dziwne, nieznane. Wszystko dokoła zmieniło się. Cały dzień i całą noc lał deszcz. Zakłócony został spokój kęp krzewów i zarośli, gdzie żyły tajemnicze stworzenia. Teraz zamieszkały tam ropuchy. Ich żałośliwe zawodzenie to cichło, to wzmagало się i wypełniało dziwnymi tonami okolicę. Próbował policzyć te zawodzające głosy, ale rychło mu się pomieszały. Było ich dużo, było z pewnością ropuch bez liku w zaroślach i gąszczach leśnych. Co tam robiły? Dlaczego zawodziły swą dziwną i smutną piosenkę? Nigdy nie widział ropuchy, uważał ją za jedno z tych tajemniczych stworzeń, zamieszkujących góry i zarośla macambiry. Skulił się, ułożył jak najwygodniej i usnął wkrótce, ogrzany z jednej strony przez ognisko a z drugiej przez ciepłe ciało sinii Vitorii.

Miech sapał, wilgotne drzewo trzeszczało, postać Fabiana to ukazywała się w blasku płomieni, to nikła w mroku.

Baleia siedziała nieruchomo, patrząc w ogień i czekając cierpliwie, aż cała rodzina ułoży się do snu. Nużyło ją hałaśliwe zachowanie Fabiana. Gdy w catindze, goniąc jakieś zwierzę, wrzeszczał na całe gardło, to było zrozumiałe. Ale tutaj, przy ogniu, po co ten krzyk? Fabiano zupełnie niepotrzebnie tracił siły. Znudziło to Baleię. Drzemała, bo usnąć jeszcze nie mogła. Najpierw sinia Vitoria powinna wybrać spomiędzy kamieni węgielki i popiół, zamieść podłogę i położyć się razem z Fabianem na łóżku z prętów. Chłopcy ułożą się w izbie na macie słomianej. Niechże ją wreszcie zostawią w spokoju! Przez cały dzień śledziła każdy ruch ludzki, starając się odgadnąć różne niezrozumiałe dla niej sprawy. Teraz chce spać, odpocząć od pcheł i od tej czujności, która trzyma ją w naprężeniu. Kiedy podłoga będzie już pięknie zamieciona, wtedy psina wśliznie się między kamienie paleniska i tam zaśnie w ciepłe, zwinięta w kłębek, a z dali dochodzić ją będzie zapach mokrej sierści koziej i różne dźwięki nie znane — szelest strug deszczu spływającego z okapu, zawodzenie ropuch, szum wezbranej rzeki. Drobnutki, bezpańskie stworzonka nawiedzą ją we śnie.

B O Z E N A R O D Z E N I E

Dzień Bożego Narodzenia był bardzo upalny. Wiał gorący wiatr, nad pożółkłymi drzewami suche liście wioły w tumanach kurzu.

O trzeciej po południu Fabiano, sinia Vitoria i chłopcy wybrali się do miasta na uroczystości świąteczne. Zamknęli drzwi domu, przecięli podwórze, zeszli z pagórka i stąpali teraz ciężko po żwirze, jak woły o chorych racicach. Fabiano, wciśnięty w ubranie z workowego płótna, uszyte przez sinię Tertę, w wołokowym kapeluszu, w kołnierzyku i krawacie, w kamaszkach z cienkiej skóry ze wstawkami gumowymi w cholewkach, starał się trzymać prosto, co nie było w jego zwyczaju. Sinia Vitoria, ustrojona w jaskrawą suknię w czerwone kwiaty, nie mogła utrzymać równowagi na wysokich obcasach, jakie noszą miejskie elegantki, toteż chwiała się i potykała co chwila. Chłopcy mieli na sobie nowiutkie garnitury. W domu chodzili nago lub w bawełnianych koszulinach. Ale Fabiano kupił niedawno w mieście dziesięć łokci płótna i dał sinii Tercie, by uszyła ubrania dla niego i dla chłopców. Sinia Terta oznajmiła, że nie starczy materiału na trzy garnitury. Fabiano był przekonany, że stara chce go okraść zachowując resztki płótna dla siebie, toteż udał, że nie rozumie, o co jej chodzi. W rezultacie ubrania były krótkie, ciasne i posztukowane.

Fabiano starał się tego nie zauważać. Szedł wypro-

stowany, z wypiętym brzochem, spoglądał daleko przed siebie. Zazwyczaj patrzył pod nogi, uważając, by nie potknąć się o kamień, o pień ściętego drzewa czy korzeń, by nie wpaść w jakąś jamę lub nie nadeptać na węża. Wkrótce zmęczyła go ta wymuszona postawa. Gdy doszli do wyschniętego koryta rzeki, poczuł, że w ten sposób nie przejdzie tych trzech mil, które ich jeszcze dzieliły od miasta. Usiadł na piasku, zdjął kamaszki, skarpetki, marynarkę, kołnierzyk i krawat — i westchnął z ulgą. Sinia Vitoria poszła za jego przykładem: ściągnęła pantofle i pończochy, zawinęła je w chustkę. Malcy wsadzili trepki pod pachę i poczuli się swobodniej.

W pewnej chwili przyłączyła się do nich Baleia, która szła dotąd w pewnej odległości za ludźmi. Gdyby dogoniła ich wcześniej, Fabiano byłby ją prawdopodobnie odpędził. I biedna psina spędziłaby ten dzień świąteczny w towarzystwie węży, które pełzały po werandzie zamkniętego domu. Ale teraz, z marynarką narzuconą na ramiona, z kamaszkami zawieszonymi na kiju, z kołnierzykiem i krawatem w kieszeni, vaqueiro odzyskał dobry humor i przyjął Baleię przyjaźnie.

Powrócił do swej zwykłej postawy: szedł zgarbiony, z pochyloną głową, kołysząc się na pałakowatych nogach. Za nim postępowała sinia Vitoria, dalej dwaj malcy i Baleia. Bez zmęczenia przeszli resztę drogi i o zmierzchu stanęli nad strumykiem, za którym zaczynała się już ulica miasta.

Tu Fabiano usiadł nad wodą i mył starannie nogi, by oczyścić stwardniałe podeszwy z gliny, która wypełniła głębokie pęknięcia w skórze. Potem usiłował wciągnąć kamaszki na mokre jeszcze stopy, ale to przedstawiało trudności nie do pokonania; bawełniane skarpetki pofałdowały się na piętach i kamasze stawiały zdecydowany opór. Sinia Vitoria podniosła spódnicę, usiadła na ziemi

i również umyła nogi. Obaj mężczyźni weszli do strumyka, każdy potarł nogę o nogę, potem szybko wyskoczyli z wody, włożyli trepki i stojąc śledzili ruchy rodziców. Sinia Vitoria wkrótce doprowadziła się do porządku i wstała z ziemi, podczas gdy Fabiano sapał ze złości. Udało mu się wreszcie wciągnąć jeden z tych przeklętych kamaszków, ale z drugim nie mógł sobie dać rady i szamotał się z nim wściekle, ciągnąc go z całej siły za uszy. Sinia Vitoria zaczęła mężowi dawać różne rady, które go jeszcze bardziej irytowały. Nie było sposobu wtłoczenia pięty w ten diabelski but. Przy energiczniejszym szarpnięciu jedno ucho pękło, vaqueiro schwycił gwałtownie za gumę cholewki i mocno podciągnął je w górę. Ale nic nie uzyskał i podniósł się zły, zdecydowany wejść do miasta tak właśnie, jak stał, kulawy, z jedną nogą krótszą. Kipiąc złością, w której jednak kryła się jeszcze iskierka nadziei, z całej siły tupnął stopą o ziemię. Cholewka ustąpiła pod naporem, mokra skarpetka rozdarła się i ściśnięta noga, choć z trudem — wtłoczyła się wreszcie na swoje miejsce. Fabiano wydał głębokie westchnienie ulgi i bólu jednocześnie. Następnie próbował założyć kołnierzyk, ale palce mu drżały i nie mógł trafić guzikiem w dziurkę. Sinia Vitoria przyszła mu z pomocą, zapięła kołnierzyk i zawiązała krawat. Spocione, brudne jej ręce zostawiły ciemne plamy na kołnierzyku.

— No, już dobrze — chrząknął Fabiano.

Przeszli przez kładkę i znaleźli się na ulicy miasta. Sinia Vitoria wciąż utykała i wykrecała nogi. Parasol trzymała w powietrzu rączką na dół, spiczasty koniec owinęła chusteczką. Nie wiadomo właściwie dlaczego — sinia Vitoria sama nie umiałaby tego wyjaśnić — wiedziała, że tak robią inne proste kobiety, i przejęła ten zwyczaj.

Fabiano kroczył wyprostowany.

Obaj chłopcy rozglądali się wokoło, wytrzeszczali oczy i odnosili się nieufnie do wszystkiego, co widzieli. Nie odczuwali ciekawości, raczej strach, i dlatego stąpali ostrożnie, bojąc się zwrócić na siebie uwagę dorosłych. Spodziewali się teraz różnych nadzwyczajnych wydarzeń. Mieli dotychczas niejasne pojęcie, że poza fazendą istnieją jeszcze jakieś inne światy, jakieś cudowne światy położone wśród dalekich, niebieskawych gór. Ale to, co zobaczyli, wydawało im się dziwne. Jak w ogóle mogło być tyle domów i tylu ludzi? Z pewnością ci ludzie zaraz pokłócą się i zaczną się bić. A może ludzie tutejsi są źli i nie pozwolą im chodzić między domami? Chłopcy byli przyzwyczajeni do częstych kuksańców i do targania za uszy. Kto wie, może te nieznane istoty nie będą się do nich tak odnosiły jak sinia Vitoria, ale malcy czuli, że lepiej jest iść ostrożnie i cichutko — przemykali się więc koło ścian, starając się zająć jak najmniej miejsca, olśnieni światłem latarń i oszołomieni nie znanymi dźwiękami.

Weszli do kościoła. Baleia została sama na ulicy i niepokojnie rozglądała się dokoła.

Według niej powinno teraz być wszędzie ciemno, bo przecież zapadł już wieczór i wszyscy ludzie, którzy tu chodzą, powinni spać. Podniosła pyszczek do góry i poczuła jakąś nie znaną woń. Zakrztusiła się. Ludzie stojący tuż przy niej krzyczeli przeraźliwie, wokół panowała oślepiająca jasność, ale najbardziej drażnił ją ten dziwny zapach jakby dymu.

Chłopcy byli również zdumieni i przerażeni. Świat im się nagle rozszerzył, a w tym nowym wielkim świecie Fabianowi i sinii Vitorii przypadło miejsce niepoczesne — rodzice wydawali im się niepozorni, mniejsi niż postaci świętych z ołtarzy. Pierwszy raz w życiu widzieli ołtarze, ale przypuszczali, że muszą to być przedmioty bardzo

ważne. Światła i śpiewy wprowadziły ich w błogi zachwyty. Jedyne światło, znane im dotychczas — to ogień paleniska w kuchni i lampka naftowa, wisząca na patyku wystającym z glinianej ściany ich domu; jedyny śpiew, który słyszeli w życiu — to litania sinii Vitorii i smutne, bez słów, monotonne zawodzenie Fabiana, gdy popędzał woły.

Fabiano, wciśnięty w nowe, niewygodne ubranie, przebierał nogami, bo kamaszki piekły go nieznośnie, i wyciągał szyję, by widzieć jarzące się świece i obrazy świętych. Tłum dokuczał i krępował go bardziej niż ciasne ubranie. W swoim skórzanym odzieniu — w spodniach, butach, kaftanie i napierśniku — czuł się jak pancernik, cały zamknięty w skorupie; ale wskakiwał lekko na grzbiet konia i mknął niczym wiatr po catindze. Teraz nie mógł się poruszać, ze wszystkich stron nacierają nań ciała ludzkie. Przypomniała mu się noc, którą spędził w areszcie. To, co odczuwał wówczas, niewiele różniło się od obecnego wrażenia; jakby ręce i ramiona tłumu czyhały, by schwycić go w kleszcze, obezwładnić i przygwoździć do ściany. Spojrzał na otaczające twarze. Nikt oczywiście nie zwracał na niego uwagi, ale on czuł się osaczony przez wrogów, obawiał się, że lada chwila któryś z nich zaczepi go, a wtedy źle zakończy się ta noc uroczysta. Sapał i robił daremne wysiłki, by powachlować się kapeluszem. Nie mógł się ruszyć, jakby był związany. Powolutku, z wielkim trudem udało mu się utorować przejście w zbitym tłumie. Przepchnął się do kropielnicy i tam stanął bojąc się stracić z oczu żonę i dzieci. Uniósł się na palcach i jednocześnie syknął z bólu: otarte pięty zaczęły się dawać we znaki. Zobaczył kok sinii Vitorii, wychylający się zza filaru. Chłopcy prawdopodobnie stali tuż przy niej. Kościół wciąż jeszcze wypełniał się ludźmi. Aby dojrzeć włosy żony, Fabiano musiał

odwracać głowę i wtedy kołnierzyk wrzynał mu się boleśnie w szyję. Kamasze i sztywny kołnierzyk były nieodzowne w dniu dzisiejszym. Nie mógł przyjść na nabożeństwo w sandałach i w bawełnianej koszuli, rozchełstanej na włochatych piersiach. Uważałby to za brak szacunku i oznakę lekceważenia. Raz na rok chodził do kościoła, ponieważ był katolikiem. I odkąd sięgnął pamięcią, zawsze miał wtedy na sobie odświętne ubranie, wykrochmalone spodnie i marynarkę, kamaszki z cholewkami z gumy, kapelusz, sztywny kołnierzyk i krawat. Nie odważyłby się zerwać z tym zwyczajem, choć było to dla niego bardzo męczące. Wydawało mu się, że spełnia jakiś ważny obowiązek i chcąc go spełnić godnie, starał się trzymać prosto. Ale po krótkiej chwili mięśnie rozluźniały się i ciało wracało do zwykłej postawy: głowa pochylała się na piersi, plecy wyginały się w łuk, opuszczone ramiona zaczynały wykonywać bezładne ruchy, jakby je rwano z zawiasów.

Fabiano czuł swą niższość w porównaniu z ludźmi miejskimi. I dlatego zawsze podejrzewał, że oni drwią z niego. Stawał się ponury wobec nich i unikał wszelkich rozmów. Uważał, że gdy się do niego zwracają, to tylko po to, by coś od niego wyciągnąć. Był przekonany, że subiekci oszukują go na mierze, na wadze i na cenie, kupcy — na rachunkach. Obliczenia, które pan kreślił piórem na papierze, były dla niego zupełnie niezrozumiałe. Ostatnim razem gdy robili rozrachunki, wszystkie liczby pomieszały mu się w głowie i kipiąc gniewem wybiegł z biura białego człowieka, przekonany, że go haniebnie oszukano. Wszyscy chcieli jego krzywdy. Subiekci, kupcy i właściciel fazendy ściągali z niego skórę, a ci, którzy nic nie mieli z nim do czynienia, wyśmiewali się z niego, gdy szedł ulicą kołysząc się na pałakowatych nogach. Dlatego Fabiano unikał ludzi. Wiedział, że wy-

gląda śmiesznie w tym nowym ubraniu, uszytym przez sinię Tertę, w sztywnym kołnierzyku, w krawacie, w kamazkach i kapeluszu, ale starał się o tym nie myśleć.

— Leniuchy, gałgany, złodzieje, oszusty!

Był pewny, że wszyscy mieszkańcy miasta są nic nie warci. Zagryzł wargi. Nie powinien mówić takich rzeczy. O wiele mniejsze przewinienie zaprowadziło go do aresztu i naraziło na obicie. Aaa... ten policjant-chuchro... Pokiwał głową, otrząsnął się z niemiłego wspomnienia i przebiegł wzrokiem po tłumie, by zobaczyć, czy nie znajdzie jakiej znajomej twarzy. Jeśli spotka znajomego, wyciągnie go na ulicę, obejmie w pół, poklepie po ramionach, będzie się śmiał, uradowany zaklaszcze w ręce. A potem będzie mówił o bydle. Nagle zadrżał — odwrócił głowę, by zobaczyć kok sinii Vitorii. Trzeba uważać, żeby nie oddalić się zanadto od żony i dzieci. Przepisnął się do nich właśnie w chwili, gdy tłum zaczął wylewać się z kościoła.

Wyszli, a raczej zostali wypchnięci kułakami, łokciami i kolanami. Fabiano, cały obolały, znów wspomniął sobie przygodę z wymizerowanym policjantem. Właśnie przechodzili przez plac, gdzie rosła pamiętna jatoba, i Fabiano odwrócił od niej głowę, uciekając myślą przed niemiłym wspomnieniem. Bez żadnego powodu ten niecnota zaczepił go grubiańsko i nadepnął mu na nogę. On uprzejmie usunął mu się z drogi. Ale gdy tamten znów powtórzył swój manewr, Fabiano stracił cierpliwość i doszło do awantury. A rezultat tego zajścia: obolałe plecy od razów szablą i noc spędzona w areszcie.

Kupił żonie i synom bilety na karuzelę, wsadził ich na koniki i przypatrywał się zadowolony, jak jeżdżą w kółko. Potem zaprowadził ich przed budę, gdzie odbywały się różne gry. Tam Fabiano podrapał się w głowę, wyciągnął chustkę z kieszeni, rozwiązał węzełek i poli-

czył pieniądze z myślą, by zażyć w kości. Gdyby mu szczęście sprzyjało, mógłby kupić to łóżko ze skóry, o którym marzyła sinia Vitoria. Aby dodać sobie odwagi, poszedł do namiotu z napojami na kieliszek wódki, potem wrócił przed budę, gdzie grano w kości, i wałęsał się koło niej, niezdecydowany, wzrokiem pytając żonę o decyzję. Sinia Vitoria zrobiła głową leciutki ruch przeczenia i Fabiano oddalił się, przypomniawszy sobie, jak to policjant-chuchro wciągnął go do partyjki w sklepie Inacia i jak go przy tej sposobności okradziono. Okradli go, z całą pewnością okradli. Poszedł znów do namiotu z napojami i wypił kieliszek wódki.

— Jak święto, to święto.

Pił kieliszek za kieliszkiem i w końcu stracił miarę. Wódka uderzyła mu do głowy, nabrał pewności siebie, patrzył wyzywająco dokoła. Był zdecydowany zrobić jakąś awanturę. Jeśli spotka tego przeklętego policjanta, to bez wahania rzuci się na niego. Chodził między namiotami, z butną miną, przytupując nogami mimo bólu, który mu sprawiały otarte pięty. Chciał koniecznie z kimś zadrzeć, szukał zaczepki: — już ja mu pokażę! Nie zwracał najmniejszej uwagi na żonę i dzieci, które szły tuż za nim.

— Wystąp, kto ma odwagę! — ryknął nagle.

Na placu panował zgiełk, toteż nikt nie usłyszał tego wyzwania. A Fabiano prędko schował się za barak ze słodyczami. Kusiło go, by wywołać awanturę, ale równocześnie powstrzymywały go resztki ostrożności. Tutaj mógł swobodnie wybuchać groźbami, stąd mógł bezkarnie miotać obelgi na niewidzialnych wrogów. Szarpany sprzecznymi uczuciami, kolejno to narażał się na niebezpieczeństwo, lżąc ich, to milkł zaniepokojony i cofał się przezornie. Wiedział, że każdy taki wybuch może ciężko okupić, bał się, by policjant-chuchro nie zjawił się nagle i nie nadepnął mu na nogę. Sam policjant nie był groź-

ny — chudziaczek — ale zyskiwał na znaczeniu, gdy koledzy pospieszali mu z pomocą. Lepiej go unikać. Tylko że wspomnienie o nim było czasem tak dręczące, że aż trudne do zniesienia. Fabiano szykował zemstę. Podniecony wódką, nabrał odwagi.

— Gdzież ten mężny rycerz? Kto ma odwagę powiedzieć, że jestem brzydki? Wystąp, kto się ośmieli!

Rzucał to wyzwanie bełkocąc, plątały mu się wyrazy, drżał, że go ktoś może usłyszeć. Ale nikt się nie zjawiał. Więc Fabiano grzmiał na cały głos, wymyślając każdemu poszczególnie i wszystkim zgromadzonym na placu od tchórzy i rzezańców. Wykrzyczawszy się aż do ochrypnięcia, wyobraził sobie, że wrogowie drżąc przed nim ze strachu poukrywali się gdzieś niedaleko. Więc ryknął:

— Wy, zgraja!...

Zaciął się. Nie mógł trafić na odpowiednie określenie. poczuł nagłą niemoc, oblał go zimny pot, usta wypełniły mu się śliną, zgraja, ale czego?... Miał na końcu języka właściwe słowo. Lecz język stanął mu kołkiem i puchł, puchł... Fabiano spluwał raz po raz, utkwivszy szklane oczy w żonę i dzieci. Cofnął się kilka kroków i zaczął wymiotować, potem kulejąc podszedł znów bliżej latarni i usiadł na cementowym podwyższeniu przed jednym z baraków. Ochłonął z zapachu, opadło go nagłe zniechęcenie, czuł, że siły opuszczają go zupełnie. Zgraja czego? Powtarzał to pytanie, nie wiedząc właściwie, czego szuka. Spojrzał w twarz sinii Vitorii, ale nie mógł odróżnić jej rysów. Czy zauważyła, co się z nim dzieje? Ludzie siedzieli obok grupkami i rozmawiali; Fabiano poczuł do nich nienawiść. Gdyby nie to, że był cały zlany potem, że go mdliło i że męczyła go czkawka, rzuciłby się na nich z pięściami. Zmacony jego umysł nie przestawał pracować, szukając uparczywie odpowiedzi na dręczące pytanie, a teraz dołączyło się do tego procesu myślowego

niejasne przeświadczenie, że ci ludzie nie mają prawa siedzieć na bruku. Niechże go zostawią samego z żoną, dziećmi i suką. Zgraja czego? Nagle wydał przeraźliwy okrzyk i klasnął w dłonie:

— Zgraja psów!

Ucieszyło go to, że nareszcie wpadł na ten wyraz, dotychczas uparcie wymykający mu się ze świadomości. Zgraja psów! Oczywiście, że wszyscy ci prostacy — z nim razem — niczym nie są lepsi od psów. Wyciągnął rękę szukając żony i dzieci i upewnił się, że siedzą przy nim. Gwałtowny atak czkawki wykrzywił mu twarz, ślina ponownie napłynęła do ust. Zaczął pluć. Po chwili uspokoił się, odetchnął głęboko, przeciął palcem nitkę śliny, która zwieszała się z otwartych ust. Był zamroczony, w uszach szumiało mu nieznośnie. Mógłby przysiąc, że właśnie przed chwilą wyszedł zwycięsko z jakiegoś groźnego niebezpieczeństwa i wykazał niebywałą odwagę. Jednocześnie miał niejasne uczucie, że w czymś popełnił błąd. Teraz miał głowę ciężką i chciało mu się spać. Gdy podniecony wódką chciał wywołać burdę, w zapale nie zwracał uwagi na swe otarte pięty. Ale ochłonął i czuł teraz piekący ból nóg. Ściągnął kamasze i skarpetki, zerwał kołnierzyk i krawat, zrzucił marynarkę, zwinął wszystko razem, rozciągnął się na cemencie, podsunął sobie zawiniątko pod głowę, twarz zasłonił wojłokowym kapeluszem i mimo dręczących wciąż mdłości usnął natychmiast.

Sinia Vitoria była w przykrym położeniu: musiała załatwić naturalną potrzebę, a wokół nie widziała odpowiedniego miejsca. Chyba że schowa się w głębi placu, tam, gdzie stoją kramy ze słodyczami. Wstała na wpół zdecydowana i znów przysiadła. Jakże odejdzie od dzieci, jakże zostawi męża w tym stanie? Z trudnością panowała nad sobą jeszcze przez kilka chwil, ale oglądała się zroz-

paczona na wszystkie strony, bo czuła, że długo tak nie wytrzyma. Wreszcie przesunęła się nieznacznie aż do miejsca, gdzie siedziało już kilka przykucniętych bab, kucnęła obok nich i patrząc na domy i papierowe latarnie naprzeciwko, obficie zmoczyła ziemię i nogi sąsiadek. Wróciła na dawne miejsce, wyciągnęła z kieszeni fajkę, napchała ją tytoniem, zapaliła i pyknęła kilka razy z zadowoleniem. Pozbywszy się przykrego uczucia przypatrywała się z zajęciem tłumowi falującemu na placu i kramom, gdzie odbywała się loteria, śledziła wzrokiem barwne fajerwerki. Prawdę powiedziawszy to życie wcale nie jest takie złe. Przyszedł jej raptem na myśl okres suszy i wstrząsnęła się dreszczem przerażenia: stanęła jej przed oczami cała straszna wędrówka, którą odbyła po drogach palących stopy, zobaczyła znów kości leżące na ziemi i poskręcane, wyschłe konary martwych drzew. Oddaliła przykre wspomnienie i przypatrywała się z zachwytem otaczającym ją cudnościami. Zgiełk ludzkich głosów był przyjemny, gęgłiwy dźwięk karuzeli rozlegał się bez przerwy. Brakowało sinii Vitorii tylko takiego łóżka, jakie miał pan Tomas od kieratu, aby uważać życie za zupełnie dobre. Westchnęła na myśl o łóżku z drewnianych prętów, na którym sypiali. Pykała fajkę siedząc w kucki i szeroko otwierając oczy i uszy, by nic nie stracić z piękna świątecznej zabawy.

Chłopcy szeptem dzielili się wrażeniami. Byli bardzo zmartwieni zniknięciem Balei. Pociągnęli matkę za rękaw. Co się mogło stać z Baleią? Sinia Vitoria podniosła rękę w górę i niedbałym ruchem wskazała cybuchem fajki dwie strony świata. Ale malcy nie zadowolili się tą niejasną odpowiedzią. Gdzie może być Baleia? Nie przykuwał ich uwagi ani jasno oświetlony kościół, ani kramy z przeróżnymi rzeczami, ani latarnie z kolorowej bibułki, fajerwerki czy loteria fantowa; byli zajęci wyłącznie

nogami ludzkimi. Biedactwo, pewno się gdzieś błąka wśród tłumu i zewsząd spadają na nią kopniaki.

Zjawiła się nagle. Dała susa na cementowe podwyższenie, przewinęła się między babskimi spódnicami, przeskoczyła przez Fabiana i rzuciła się na chłopców, ruchami ogona i lizaniem wyrażając swą radość. Starszy chłopiec schwycił ją oburącz. Była uratowana. Starali się wytłumaczyć jej, jak strasznie się o nią bali, ale Baleia nie chciała tego słuchać. Uważała, że tracą tylko czas w tym dziwnym miejscu, pełnym jakichś nieznanych zapachów. Chciała zaszczekać, aby w ten sposób wyrazić swój protest przeciwko całej tej sytuacji, ale zorientowała się, że nikogo nie przekona, więc zrezygnowana, spuściła ogon i poddała się kaprysom swych panów.

Chłopcy byli tego samego zdania co ona. Teraz przyglądali się kramom, namiotom, karuzeli. Wszystko ich zdumiewało. Cichutko wymieniali między sobą uwagi o tych cudach, które tu były nagromadzone. Najpierw zrobili odkrycie, że na świecie jest mnóstwo ludzi. Potem zauważyli, że jest ogromna ilość przeróżnych rzeczy. To im się w głowach wprost nie mieściło. Młodszy chłopiec nieśmiało zakomunikował bratu swoje wątpliwości. Czy możliwe, że to wszystko zrobili ludzie? Starszy zawahał się chwilę, powiódł oczami po jasno oświetlonych kramach i namiotach, spojrzął na ładnie ubranych ludzi i wzruszył ramionami. Może to wszystko zrobili ludzie, kto wie... Tu nasunęła mu się również pewna wątpliwość, z której zwierzył się bratu na ucho. Niechybnie te wszystkie rzeczy mają jakieś nazwy. Młodszy spojrzął na niego pytająco. Tak, z pewnością te cuda, które leżą na ołtarzach i w kramach na półkach, jakoś się nazywają. Zaczęli rozmawiać o tej zawiłej sprawie. Jak ludzie mogą pamiętać tyle wyrazów? Nie, to niemożliwe! nikomu w głowie nie pomieściłoby się takie mnóstwo słów. Ska-

zane na bezimiennosc przedmioty te stały się odległe i obce, tajemnicze. Nie ludzie je zrobili. I ci, którzy ich dotykają, popełniają wielką nieostrożność. Gdy się na nie patrzy z daleka, wydają się cudne. Małcy, pełni podziwu i strachu, mówili szeptem, by nie rozpętać tych groźnych mocy, które może są w tych przedmiotach ukryte.

Baleia drzemała, od czasu do czasu podnosząc łeb i węsząc: odór dziwnego potu wypełniał powietrze i zupełnie ją dezorientował.

Przed oczami sinii Vitorii majaczyło poprzez kramy łóżko pana Tomasa od kieratu — prawdziwe łóżko.

Fabiano chrapał leżąc do góry brzuchem, kapelusz zakrywał mu całą twarz. Bił od niego jakiś obcy zapach i Baleia zupełnie go nie poznawała. Miał widać przykry sen, bo co chwila poruszał się niespokojnie, parskał i jęczał. Majaczyło mu się, że naokoło niego zjawił się tłum policjantów o poźółkłych, wynędzniałych twarzach, deptali mu po nogach wielkimi buciskami i grozili ogromnymi szablami.

Baleia była bliska śmierci. Schudła, wyleniła, żebra i kości sterczały jej spod różowej skóry, na której widniały krwawiące rany i ropiejące strupy, gęsto pokryte muchami. Spuchnięte wargi i rany w pysku i na języku utrudniały jej picie i jedzenie.

Fabiano przypuszczał, że suka ma początki wścieklizny, i dlatego zawiesił jej naszyjnik z wysuszonych kaczanów kukurydzy. Ale mimo to stan biednej suki pogarszał się z każdym dniem; nieszczęsne stworzenie wciąż czochrało się o sztachety curralu; zaszywało się zniecierpliwione w gąszcz koleczastych krzaków; starało się odpędzać natrętne muchy i komary, trzęsąc bez przerwy głową i machając krótkim, wytartym z sierści ogonkiem, zgrubiałym u nasady i pokrytym wianuszkami zeschniętych strupów, co upodobiało go do ogona grzechotnika.

Fabiano postanowił ją zabić. Wziął skałkówkę, wytarł ją porządnie gałganem, oczyścił starannie szklanym papierem i dobrze naładował, by suka nie męczyła się długo.

Sinia Vitoria zamknęła się w izbie, pociągnawszy za sobą przerażonych chłopców, którzy przeczuwali coś złego i powtarzali bez ustanku wciąż to samo pytanie:

— Co chcecie zrobić Balei?

Widzieli przygotowania Fabiana i byli w rozpacz, że Balei grozi niebezpieczeństwo.

Sukę uważali za członka rodziny, bawili się razem we troje, właściwie niewiele różnili się od niej, tak samo tarzali się po piasku rzeczonym i po kupie miękkiego nawozu, która wciąż rosła i rosła, grożąc zajęciem całego curralu dla kóz.

Malcy chcieli odsunąć zasuwkę i otworzyć drzwi, ale sinia Vitoria odciągnęła ich i położyła przemocą na łóżku z drewnianych prętów starając się zatkać im uszy: głowę starszego wzięła między kolana, a młodszemu przyłożyła dłoń do uszu. Niełatwa to była sprawa, bo chłopcy nie chcieli się poddać, więc rozgniewała się na serio i walczyła z nimi energicznie.

Jej także ścisnęło się serce, ale była zrezygnowana, uważając postanowienie Fabiana za słuszne i konieczne. Biedna Baleia!

Nastawiła uszu i usłyszała dźwięk śrutu, wpadającego w lufę skałkówki, oraz głucho uderzenie stempla, zabijającego zatyczkę. Westchnęła... Biedna Baleia...

Chłopcy zaczęli krzyczeć i kopać nogami, a ponieważ sinia Vitoria rozluźniła nieco kolana, starszy zdołał wyrwać się z jej uścisku.

— Przeklęty szczeniaku! — syknęła ze złością.

I znowu musiała walczyć, by go opanować. Zirytowała się na dobre. Cóż za nieznośny uparciuch! Dała kuksańca w głowinę szarpiącą się pod czerwoną kapą i kwiecistą spódnicą.

Powoli gniew ją opuszczał, zaczęła utulać i kołysać malców, wydając przy tym okrzyki zniecierpliwienia i niechęci pod adresem wynędzniałej Balei. Nazywała ją wstrętną niedołągą, nieznośnym, głupim stworzeniem. Nie można przecież pozwolić, by wściekłe zwierzę chodziło swobodnie po domu. Ale w głębi duszy czuła, że jest niesprawiedliwa, nie wydawało jej się prawdopodobne, by Balei groziła wścieklizna i nie mogła odżalować,

że mąż nie poczekał bodaj jeszcze jednego dnia, by przekonąć się, czy rzeczywiście egzekucja jest konieczna.

Tymczasem Fabiano chodził po werandzie, przytkając palcami. Sinia Vitoria wtuliła głowę w ramiona i starała się zasłonić nimi uszy. Ponieważ to było nie do wykonania, więc z trudem podniosła ramiona i nie zwalniając syna z uścisku, zdołała zakryć część głowy.

Fabiano z werandy obserwował barauny rosnące nie opodal i szczał niewidocznego psa na nie istniejącą zwierzynę.

— Eko! Eko!

Wszedł do domu, przebiegł przez izbę i stanął przed niskim oknem kuchennym. Zbadał wzrokiem podwórko i zobaczył Baleię czochrającą się o pień barauny. Przyłożył strzelbę do ramienia. Ale suka spojrzała na pana podejrzliwie i zaczęła cofać się powoli, okrążając drzewo, aż schowała się za nie zupełnie, z drugiej strony pnia błyszczały jej tylko czarne, niespokojne źrenice. Fabiano, zniecierpliwiony tym manewrem, wyskoczył przez okno, zatrzymał się przy narożnym słupku i znów zmierzył się ze strzelby. Ale ponieważ łeb suki nie przedstawiał dobrego celu, dał kilka kroków w bok, pociągnął za cyngiel i strzelił. Trafił Baleię w zad i obezwładnił jej tylną łapę. Biedne stworzenie zaczęło rozpaczliwie szczekać.

Usłyszawszy strzał i to szczekanie — sinia Vitoria zaczęła głośno odmawiać Ave Maria, a chłopcy zaszlochali tarzając się po łóżku. Fabiano wrócił na werandę.

Baleia uciekła na trzech łapach, okrążyła gliniankę, wpadła na mały placyk z lewej strony domu, przebiegła tuż koło goździków i piołunu i przez dziurę w płocie dostała się na podwórko. Przystanąła przed werandą, ale bojąc się spotkać Fabiana oddaliła się w stronę małego curralu. Zatrzymała się tam przez chwilę, nie wiedząc, co

z sobą zrobić, w końcu pokuśtykała bez określonego celu — przed siebie.

W miejscu, gdzie stał wóz, druga tylna łapa odmówiła jej posłuszeństwa.

I szła dalej jak człowiek na dwóch łapach, zostawiając krwawy ślad na ziemi i wlokąc za sobą bezwładną tylną część ciała. Chciała cofnąć się i schować pod wozem, ale bała się kół.

Przezołgała się tak do grupy juazeirów. Pod korzeniami jednego z drzew ulewne deszcze wymyły głęboką jamę. Chroniła się tam zwykle przed muchami i komarami i lubiła tarzać się w miękkim, mialkim pyłe glinianym, a gdy wychodziła z tej kryjówki była niepodobna do siebie: suche liście i gałązki przyklepione do ran i ropiejących strupów nadawały jej wygląd jakiegoś dziwnego stworu.

Ale upadła, zanim dotarła do tej jamy. Próbowwała dzwignąć się, podniosła łeb i wyciągnęła przednie łapy, lecz reszty ciała nie zdołała unieść z ziemi. I tak skrecona, trąc łapy o żwir, drapiąc piasek pazurami, czyniła rozpaczliwe wysiłki i czołgała się z trudem, aż wreszcie siły ją opuściły i znieruchomiła przy kupie kamieni, gdzie chłopcy zwykli rzucać zdechłe węże.

Palilo ją pragnienie. Spojrzała na przednie łapy, lecz nie zobaczyła ich: mgła zasłoniła jej wzrok. Ogarnęła ją przemożna chęć ugryzienia Fabiana i zaczęła szczekać, ale z wyschniętego gardła wydobywało się tylko słabutkie wycie, które wciąż cichło, aż wreszcie stało się prawie niedosłyszalne.

Blask słońca oślepił ją, ostatnim wysiłkiem podciągnęła się o kilka calów dalej i legła w skrawku cienia, pod jednym z większych kamieni.

Znów spojrzała na siebie i przeraziła się: co się z nią dzieje? Mgła rosła przed nią i gęstniała.

Nagle poczuła przyjemną woń małych prea, które gnieździły się na pagórku, ale ta woń była bardzo słaba i pomieszana z zapachem jakichś innych stworzeń. Wyglądało to tak, jakby pagórek bardzo się od domu oddalił. Podniosła pyszczek w górę i głęboko wciągnęła w nozdrza powietrze; obudziła się w niej ochota, aby wbiec na pagórek i gonić gryzonie, które skakały na swobodzie.

Zaczęła ciężko dyszeć, zdawało jej się, że szczeka. Oblizła spieczone wargi i nie poczuła żadnej ulgi. Węch tępiał jej coraz bardziej: z pewnością wszystkie prea już pouciekały.

Zapomniała o nich, bo przed jej zamglonymi oczami ukazał się teraz Fabiano z jakimś dziwnym przedmiotem w ręku i powtórnie poczuła ochotę ugryzienia go. Nie знаła tego przedmiotu, ale czując, że kryje on w sobie nieprzyjemne niespodzianki, zaczęła drzeć całym ciałem. Zrobiła wysiłek, by usunąć się z drogi i podwinąć ogon. Zamknęła ciężkie powieki i sądziła, że podwinęła już ogon. Nie mogłaby ugryźć Fabiana: urodziła się w jego izbie, na łóżku z drewnianych prętów, i całe swe życie spędziła służąc mu, szczekaniem zapędzając bydło, gdy vaqueiro klaskał w dłonie.

Nieznany przedmiot w ręku Fabiana ani przez chwilę nie przestawał jej grozić. Wstrzymała oddech, zamknęła pysk i spod przymkniętych powiek śledziła wroga. Tak trwała w naprężeniu przez chwilę, aż wreszcie uspokoiła się: Fabiano i niebezpieczny przedmiot znikli jej sprzed oczu.

Z trudem podniosła powieki. Teraz panowała wokół niej głęboka ciemność, pewno słońce już zaszło.

Od strony rzeki zadźwięczały kołatki kóz, odór zwierzęcy rozszedł się w powietrzu.

Baleię ogarnęło przerażenie. Cóż tu robią te zwierzęta w nocy, dlaczego je wypuszczono? Jej obowiązkiem jest

wstać i zapędzić je do wodopoju. Poruszyła nozdrzami, chcąc poczuć znajomą woń chłopców, i zdziwiła się, że ich nie ma w pobliżu.

Nie pamiętała już o Fabianie. Stało się z nią coś dziwnego, ale Baleia nie kojarzyła tego nieszczęścia z niemocą, jaka ją ogarnęła, ani nie uważała, aby ta niemoc zwalniała ją ze zwykłych obowiązków. Niepokój ścisnął jej małe serduszko. Przecież trzeba pilnować kóz: o tej porze pумы włóczą się po korycie rzeki, krążą wśród zarośli. Całe szczęście, że chłopcy śpią już na macie pod wnęką w ścianie, gdzie sinia Vitoria chowa fajkę.

Noc zimowa, mroźna i mglista roztaczała się wokół biednego stworzenia. Panowała głęboka cisza, w pobliżu żadnego znaku życia. Stary kogut nie piał na grzędzie, Fabiano nie chrapał na łóżku z drewnianych prętów. Odgłosy te nie przedstawiały dla Balei nic ciekawego — to prawda — ale gdy kogut bił skrzydłami i Fabiano przewracał się na łóżku, czuła obecność tych bliskich sobie istnień. Teraz wydawało jej się, że fazenda opustoszała.

Baleia dyszała szybko, z otwartego pyska zwieszał jej się język sztywny jak kołek — szczęki wyszły jej z zawiasów. Nie rozumiała, co się z nią stało. Odgłos strzału, uderzenie w zad i pełne bolesnych wysiłków czołganie się od glinianki do końca podwórka — to wszystko wymknęło się już z jej świadomości.

Prawdopodobnie znajduje się w kuchni przy trzech kamieniach, które służą za palenisko. Sinia Vitoria przed położeniem się wybrała spomiędzy kamieni węgielki i popiół, zamiotła starannie wypaloną podłogę i suka tam się położyła — to było świetne miejsce. Ciepło odstraszało pchły, rozgrzana podłoga była miękka, dobrze się na niej drzemało. A gdy przyszedł już głęboki sen, zjawiały się niezliczone ilości prea, całe stada prea biegały i skakały po kuchni.

Śmiertelne drzenie rodziło się gdzieś w okolicach brzucha i powoli dochodziło do piersi Balei. Tylnej części ciała już nie było, nie czuła jej wcale. Ale reszta drgała i za każdym drgnięciem kolce mandacaru zagłębiały się w krwawiące i ropiejące strupy.

Baleia oparła o kamień zmęczony łebek. Kamień był zimny, widać sinia Vitoria za wcześnie zgasła ogień.

Baleia chce spać. A gdy zbudzi się szczęśliwa w świecie pełnym prea, będzie lizała ręce Fabiana, ogromnego Fabiana, będzie razem z chłopcami tarzała się po ogromnym podwórku, po ogromnym curralu. Cały świat będzie wtedy pełen prea, pełen tłustych, ogromnych prea.

Fabiano dostawał przy podziale czwartą część cielaków i trzecią część koźląt. Ale ponieważ nie miał pola, tylko kawałek terenu zalewowego, na którym sadził kilka garstek kukurydzy i czarnej fasoli, więc musiał wyzbywać się bydła, by kupować żywność w mieście na targu; nie mógł dojść do tego, by zamarkować swoim znakiem choćby jedno ciele czy koźlaka.

Gdyby mógł przez kilka choćby miesięcy robić jakieś oszczędności, stanąłby na nogi. Snuł różne plany. Co za głupota! Kto jest z ziemi, nie może piąć się w górę. Gdy skończyła się czarna fasola i obgryziono ostatnie kaczany kukurydzy, Fabiano pukał do sakiewki pana, oddając mu za bezcen swoje bydła. Mruczał, opierał się, starał się wszelkimi sposobami opędzić biedę swymi szczupłymi zasobami, wreszcie dławił się rozpaczą i w milczeniu przełykał swą krzywdę. Bał się, żeby go nie wyrzucono z fazyndy. I poddawał się. Przyjmował nędzne miedziaki i słuchał rad pana. Trzeba myśleć o przyszłości, kierować się rozsądkiem. Słuchał z otwartymi ustami, czerwienił się aż po same uszy, szyja nabrzmiwała mu. Wreszcie wybuchał:

— Gadanie!... Pieniądze płyną jak woda, nikt przecie nie może żyć bez jada. Kto jest z ziemi, nie wdrapie się wyżej.

I powoli, powoli żelazo pana znaczyło bydło chłopca. Kiedy chłop nie miał już nic do sprzedania, zadłużył się. I gdy przychodziło do podziału, był zgubiony — po rozrachunku zostawały mu ledwie grosze.

Tym razem, jak zresztą i wiele razy przedtem, Fabiano obliczył sztuki bydła, lecz potem cofnął swą kalkulację, nie dowierzając sobie, wreszcie zostawił sprawę na wpół zakończoną i poszedł poradzić się żony. Sinia Vitoria posłała dzieci do gliniarki, usiadła w kuchni na ziemi, skuliła się, rozłożyła przed sobą nasiona różnych roślin i dokonała przy ich pomocy dodawań i odejmowań. Na drugi dzień Fabiano wrócił do miasta, ale przy zakończeniu rozrachunków zauważył, że obliczenia sinii Vitorii różnią się, jak zawsze zresztą, od obliczeń pana. Zaprotestował więc i dostał zwykłą odpowiedź: różnicę wywołały procenty.

Nie zgodził się z tym oświadczeniem: musiała zajść jakaś pomyłka. On sam był nieokrzesanym prostakiem, tak, przecież widziało się od razu, że był ciemnym chłopem, ale jego kobieta miała głowę na karku. Z pewnością jest jakiś błąd w papierach białego człowieka. Omyłki jednak nie znaleziono i Fabiano stracił cierpliwość. Całe życie spędzać w tej norze i oddawać pokornie to, co jego! Czy tak być powinno? Pracować jak Murzyn i nigdy nie móc wykupić się z niewoli...

Pan rozgniewał się tym zuchwałym wystąpieniem i poradził vaqueirowi, by wobec tego poszukał sobie roboty na innej fazendzie.

Tu Fabiano zląkł się i spuścił z tonu. Dobrze, dobrze. Nie trzeba się gniewać — nie. Jeśli powiedział coś niewłaściwego, prosi o przebaczenie. Jest nieokrzesany, nie uczono go przecież nigdy niczego. Ale nie jest zuchwały, zna swoje miejsce. Jest prostym chłopem. Czyż prosty cham będzie zadzierał z bogaczami? Prostak, tak, ale wie,

co się komu należy. To pewno głupota kobiety, tak, to z pewnością nieuctwo kobiety. Nawet dziwił się tym jej obliczeniom. No, ale ponieważ nie umie czytać (prostak, zwykły prostak), więc uwierzył swojej babie. Ale prosi o przebaczenie i obiecuje, że nigdy się to już nie powtórzy.

Pan udobruchał się i Fabiano wycofał się z pokoju tyłem, kapeluszem zamiatając w ukłonie ceglana podłogę. W drzwiach odwrócił się, przy czym zaczepił ostrogą o ostrogę i wyszedł potykając się i waląc o ziemię buciskami z surowej skóry niby kopytami.

Doszedł do rogu, tam zatrzymał się i zaczerpnął tchu. Nie powinni byli tak się z nim obejść. Skierował się wolno w stronę placu. Obszedł z daleka sklep pana Inacia. Odkąd zdarzyła mu się w sklepie ta niemiła przygoda, bał się przechodzić tędy. Siadł sobie nie opodal na bruku, wyciągnął pieniądze z kieszeni i zaczął liczyć, starając się odgadnąć, ile mu ukradziono. Nie mógł głośno powiedzieć, że go okradziono, ale to była kradzież. Zabierali mu bydło prawie za darmo, jeszcze w dodatku wymyślali procenty. Jakie procenty? To nie były procenty, to była kradzież.

— Złodziejstwo!

Gospodarz nie pozwolił mu nawet okazać niezadowolenia. Gdy zaprotestował, uważając, że to nadużycie, biały człowiek wstał wściekły zza stołu i od razu chciał go wyrzucić z fazendy. Po co zaraz taka awantura?

— Hm! hm!

Przypomniał sobie, co mu się przytrafiło daleko stąd i dawno, kilka lat temu, jeszcze przed suszą. Przyciśnięty potrzebą, zabił prosiaka i poszedł sprzedać go do miasta. Prosiak był przeznaczony na pokrycie wydatków świątecznych, ale jakoś nie mógł się utuczyć, więc przed przewidzianym terminem takiego chudego Fabiano zarznął i zaniósł do miasta. Natknął się jednak na miejskiego po-

borcę podatkowego z kwitariuszem w rękę i to zepsuło mu cały plan. Udał głupiego: nie rozumie, o co chodzi, bo jest prostym, nieoświeconym chamem. A gdy urzędnik tłumaczył mu, że jeśli chce sprzedać prosiaka, to musi opłacić podatek, Fabiano starał się go przekonać, że to wcale nie jest prosiak, tylko ćwiartki prosiaka, kawałki mięsa. Urzędnik rozgniewał się i zaczął chłopu wymyślać. Wtedy Fabiano spokorniał. Dobrze, dobrze. Niechże Bóg broni, żeby miał jakiś zatarg z rządem. Sądził tylko, że może rozporządzać swoim dobytkiem. Nic nie wiedział o żadnym podatku.

— Jestem prosty chłop, rozumiecie?

Przypuszczał, że prosiak jest jego. Ale jeśli magistrat ma tu też swoją część, no, to co innego. Wróci do domu i zje to mięso. Może je zjeść? Wolno mu zjeść to mięso czy nie wolno? Urzędnik zirytowany tupnął nogą i Fabiano pośpiesznie przeprosił go, zrywając skórzany kapelusz z głowy i schylając grzbiet:

— A któż mówi, że ja szukam kłótni? Najlepiej będzie, jak zakończymy tę sprawę.

Pożegnał urzędnika, włożył mięso do worka i poszedł sprzedać je po kryjomu na innej ulicy. Ale tam złapał go drugi poborca i Fabiano jęcząc musiał zapłacić i podatek, i karę. Od tego czasu nie hodował już więcej prosiaków. To było niebezpieczne.

Spojrzał na papierowe pieniądze, rozłożył je sobie na dłoni, popatrzył na nikłowe i srebrne monety, westchnął i przygryzł wargi. Nawet nie miał prawa bronić się. Trzeba się poddać. Jeśliby się nie poddał, to musiałby wynosić się z fazendy z żoną, z dziećmiakami i z gratami. A dokądby je zabrał? Co? Miał to gdzie zabrać żonę i dzieciaki? Wiadomo, że nie miał.

Powiódł wzrokiem wokoło. Poza dachami, które mu zasłaniały widok, rozciągała się równina, twarda, sucha

równina. Przypomniawszy sobie tę straszną wędrówkę, którą odbył po niej razem z rodziną, gdy wlekli się wszyscy wynędzniali, zagłodzeni, w łachmanach. Uszli z życiem i to wydawało mu się cudem. Nie rozumiał nawet, jakim sposobem uratowali się.

Gdyby miał gdzie się przenieść, krzychałby na cały głos, że go okradziono. Pozornie zrezygnowany, czuł nienawiść do wszystkiego, co miało związek z wysuszoną równiną, z panem, z policjantami i z urzędnikami miejskimi. Wszystko to sprzysięgło się przeciwko niemu. Przyzwyczył się już — chłop dużo może wytrzymać — ale czasami buntował się przeciw swej doli. Nie było na świecie takiej cierpliwości, która mogłaby to znieść.

— Aż wreszcie człowiek zrobi kiedyś głupstwo i sam się zgubi.

Czyż nie widzieli, że on nie jest z drewna, że ma też ciało i kości? Obowiązkiem jego jest pracować dla innych, oczywiście, zna dobrze swoje miejsce. Tak. Urodził się już z tym przeznaczeniem; nie ma w tym niczyjej winy, że on się urodził z takim złym przeznaczeniem. Cóż na to poradzić? Czyż można zmienić los? Gdyby mu powiedziano, że może sobie polepszyć dolę, byłby przerażony. Przyszedł na świat po to, by ujeżdżać dzikie konie, leczyć bydło zamawianiem choroby, zimą i latem naprawiać płoty. Takie jego przeznaczenie. Jego ojciec tak żył i jego dziadek. Dalej wstecz nie wiedział nic o rodzinie. Ścinać mandacaru, natłuszczać skórę na bicze — to miał we krwi. Zgadzał się z losem, nie miał żadnych innych pragnień. Gdyby mu tylko dali, co się należy, byłoby wszystko w porządku. Ale mu nie dają. Był nieszczęśliwy jak pies, który dostaje tylko kości. Dlaczego bogacze zabierają mu jeszcze część tych kości? To aż obrzydliwe, żeby ważne osoby zajmowały się takimi świństwami.

Banknoty zwilgotniały od potu jego dłoni. Chciał się przekonać, na ile go okradli. Wydawało mu się, że gdy robili rozrachunki ostatnim razem, jego strata była mniejsza niż teraz. Przeraził się. Mówili mu coś o procentach i o terminach. To wywarło na nim bardzo przykre wrażenie: ile razy ludzie uczeni używali w rozmowie z nim trudnych wyrazów, zawsze kończyło się tym, że go oszukali. Ogarniał go lęk, gdy słuchał tych nieznanych słów. Widocznie służyły tylko do ukrywania oszustw. Ale były ładne. Czasem niektóre wryły mu się w pamięć i przez jakiś czas używał ich ni przypiął, ni przyłatał. Potem wylatywały mu z głowy. Po co taki nędzarz jak on miał używać mowy bogatych panów? Sinia Terta — ta potrafiła gadać prawie tak dobrze jak ludzie z miasta, hej, obracała językiem aż miło! Gdyby Fabiano umiał tak mówić jak sinia Terta, to pewno, że umiałby się urządzać, poszukałby sobie roboty na innej fazendzie. Ale cóż, kiedy nie umiał. Gdy czuł, że go wyzyskują, w udręce czerwienił się jak dzieciak, drapał się po łokciach i jękał się zakłopotany. Dlaczego obdzierali go ze skóry, bezwstydnicy! Zabierali wszystko biedakowi, który nie ma nawet miejsca, gdzieby mógł umrzeć. Czyż nie wiedzą, że tak się nie robi? I cóż zyskiwali takim postępowaniem? No? Cóż mogli zyskać?

Ach!

Teraz już nie hoduje prosiąt i jegomość z magistratu nie mógł mu naznaczyć kary ani ściągnąć z niego podatku. Zdzierają mu z grzbietu ostatnią koszulę i jeszcze na dodatek walą szablą i wtrącają do aresztu. Dobrze, nie będzie więc już pracował, będzie sobie odpoczywał. A może i nie będzie... Przerwał monolog i długo liczył i przeliczał w myśli pieniądze. Potem zgniótł je energicznie, wcisnął do kieszeni w spodniach i zapiął kieszeń na kościany guzik. Świństwo!

Wstał, by pójść do najbliższego szynku na kieliszek wódki. Ale gdy stanął w drzwiach i zobaczył salę pełną ludzi, cofnął się. Nie lubił przebywać wśród ludzi. Brak przyzwyczajenia. Czasem powie się coś w najniewinniejszej myśli, oni zrozumieją to na opak i już gotowa awantura. Niebezpiecznie wstępować do szynku. Jedyłą istotą, która go rozumiała, była jego żona. Nawet nie potrzebował używać słów: wystarczały im ruchy. Sinia Terta, o, ta dopiero umiała wypowiadać się jak miejscy ludzie! Bardzo dobrze, gdy człek jest taki jak ona, ma przynajmniej sposoby, żeby się bronić! On ich nie ma. Gdyby miał, nie żyłby tak, jak żyje.

Niebezpiecznie wstępować do szynku. Z ochotą wypiłby ćwiartkę wódki, ale pamiętał o niemiłej przygodzie, jaka go spotkała, gdy ostatnim razem odwiedził sklep pana Inacia. Gdyby mu nie strzeliło do głowy wstąpić na kieliszek, nie byłoby mu się przytrafiło to nieszczęście. Nawet nie mógł spokojnie napić się. Niech i tak będzie. Wobec tego wróci do domu i położy się spać.

Szedł przygnębiony, powoli, ociężale, ostrogi milczały. Nie będzie mógł zasnąć. Na samym środku łóżka z drewnianych prętów sterczał sęk. Tylko wielkie zmęczenie mogło skłonić uczciwego chrześcijanina, aby wyciągnął się na czymś tak twardym. Gdy porządnie napracował się przez cały dzień, reperując płoty czy ujeżdżając konia, wtedy znużony zwał się na to łóżko i chrapał jak świnia. Teraz nie mógłby nawet zamknąć oczu. Przewracałby się przez całą noc z boku na bok na tych przeklętych prętach, rozmyślając nad swą krzywdą. Chciałby ułożyć sobie, co zrobi na przyszłość. Nic nie zrobi. Będzie zapracowywał się na śmierć i mieszkał w tym cudzym domu, dopóki go nie wyrzucą. Potem pójdzie w świat i zdechnie z głodu w wyschniętej catindze.

Wyciągnął z kieszeni zwój tytoniu, odkrajał kawałek ostrym nożem i skreślił sobie papierosa. Gdyby przynajmniej posiadał wspomnienia o jakimś przyjemnym zdarzeniu, życie nie wydawałoby mu się tak całkiem złe.

Wyszedł z miasta. Podniósł głowę i spojrzał w górę, najpierw zobaczył jedną gwiazdę, potem mnóstwo innych gwiazd. Postacie wrogów zatarły mu się w pamięci. Zaczął myśleć o żonie i o zabitej suce. Biedna Baleia! Zupełnie jakby zabił kogoś z rodziny.

P O L I C J A N T - C H U C H R O

Fabiano szedł ścieżką, która prowadziła do wyschniętego jeziora, pokrytego kępami spalonych przez słońce traw i suchymi krzakami. Szedł obciążony, z pełną torbą myśliwską przewieszoną przez ramię, z drugiego ramienia zwieszał mu się pęk kołatek i rzemieni. Kołyszący się u pasa nóż uderzał o pnie drzew.

Szedł jak zwykle ze spuszczoną głową i uważnie patrzył pod nogi starając się rozpoznać ślady różnych zwierząt. Oto przeszła tędy siwa klacz ze źrebakiem, widać wyraźnie odciski dużych i mniejszych kopyt. Tak, to z pewnością siwa klacz. Na pniu przydrożnego drzewa zostało trochę białej sierści. Oddała mocz na piasku i uryna zalała ślady kopyt, co byłoby niemożliwe, jeśli chodzi o konia.

Fabiano szedł swobodnie, nie zachowując żadnych środków ostrożności, przypatrywał się śladom klaczy i wykrywał ślady mniejszych zwierząt, ślady, które krzyżowały się z tamtymi. Zgięty we dwoje wyglądał, jakby węszył po ziemi — przed jego małymi oczkami ukazywały się wyraźnie zwierzęta, które tędy przeszły — pusta catinga nabierała życia.

Szedł śladami siwej klaczy. Nagle spleciony z włosia kantar, który niósł na ramieniu, zaplątał się w gąszczu pnących ostów. Fabiano przystanął, uwolnił kantar, wy-

ciągnął nóż z pochwy i zaczął ścinać osty i kaktusy tamujące mu drogę.

Po chwili zrobił spustoszenie w miejscu, gdzie stał, ziemia wokół pokryła się kolczastymi liśćmi. Usłyszawszy nagle za sobą szelest gałęzi, zatrzymał nóż w powietrzu, odwrócił się i stanął oko w oko z policjantem o wymizerowanej, pośliskiej twarzy, tym samym, który mniej więcej przed rokiem obił go i wtrącił na całą noc do aresztu. Fabiano opuścił rękę z nożem. Wszystko to odbyło się z błyskawiczną szybkością, może trwało sekundę. Mniej — ułamek sekundy. Gdyby trwało dłużej, policjant już leżałby na ziemi z rozłupaną głową, kopiąc konwulsyjnie piasek nogami... Impuls, który popchnął Fabiana do opuszczenia noża, był tak silny, że starczyłoby tego ciosu, by zabić człowieka, jeśliby prawie jednocześnie inny impuls nie zatrzymał mu nagle ręki. Nóż zawisł tuż nad głową policjanta, nad jego czerwoną czapką. W pierwszej chwili vaqueiro nie rozumiał, co się dzieje. Zobaczył tylko przed sobą wroga. Dopiero później błysnęła mu świadomość, że to jest człowiek i co ważniejsze, władza. Wstrząsnął się gwałtownie i wstrzymał ruch ręki, która zawisała w powietrzu i zakołysała się bezradnie.

Policjant, chudy, niepozorny, drżał całym ciałem. I Fabiano miał ochotę znowu wznieść rękę do ciosu. Miał ochotę, ale ręka mu osłabła. W rzeczywistości przecież nie chciał zabić bliźniego: postąpił tak, jak zawsze postępował w chwili, gdy siedząc na grzbiecie dzikiego konia wymijał konary i groźne kolce. Wtedy nie kierował świadomie swymi ruchami na siodle. Coś go popychało na prawo lub na lewo. To „coś“ właśnie miało rozbić głowę policjanta. Gdyby to „coś“ potrwało minutę, uczyniłoby z Fabiana zabójcę. Błysnęła mu nagle myśl, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo i stał niepewny z wytrzeszczonymi oczami, dysząc ciężko, z wyrazem przerażenia na

zarośniętej twarzy, pokrytej kroplami potu, ledwie mogąc utrzymać nóż w zwilgotniałej dłoni.

Bał się i powtarzał sobie w duszy, że grozi mu niebezpieczeństwo, ale ta myśl wydała mu się tak niemądra, że roześmiał się. Bać się czego? Tego?... Nigdy jeszcze nie widział, żeby ktoś tak się trząsł ze strachu. Podły pies. W mieście udawał ważnego. Czyż na targu nie deptał swoim butem chłopskiego trepa? Nie wrzucał ludzi do aresztu? Bezczelny łotr!

Złość go ogarnęła. Dlaczego ten bezwstydnik szczęka zębami, jakby ktoś grzechotał kośćmi w kubku? Czyż nie widzi, że on, Fabiano, nie może się zemścić? Nie widzi? Przestał dyszeć. Groźba niebezpieczeństwa znikła. Jakie niebezpieczeństwo? Tu nawet nie potrzeba noża, wystarczają pazury. Zakołysały się kołatki i rzemienie: Fabiano przysunął lewą rękę, wielką i owłosioną, do twarzy policjanta, który cofnął się i oparł o catingeirę. Żeby nie catingeira, nieszczęsny upadłby na pewno.

Fabiano wpił w niego przekrwione oczy i wsunął nóż do pochwy. Mógłby go zabić gołymi rękami. Przypomniawsobie swe obolałe, obite ciało i noc w areszcie. To chuchro dostawało pieniądze po to, aby krzywdzić niewinnych ludzi. Czy tak być powinno? Bolesny skurcz przebiegł po twarzy Fabiana, czyniąc ją jeszcze brzydszą niż zwykle, podobną do pyska jakiegoś zwierzęcia. Co? Tak być powinno? Dręczyć tych, którzy nic złego nikomu nie robią? Małe niebieskie oczka rozwierały się szeroko bolesnym pytaniem, głębokie bruzdy pokryły mu czoło, pierś unosiła się zduszonym oddechem.

Policjant kulił się i chował za drzewo. A Fabiano wbił paznokcie w zaciśnięte dłonie. Gorąco pragnął, by wróciła ta pierwsza chwila, gdy świadomość jego była zaciemniona nagłym pojawieniem się wroga, ale czuł, że to niemożliwe. Powtarzał w duchu, że nie potrzebuje

nawet używać tu broni, lecz jednocześnie miał pewność, że tym twierdzeniem chce sobie dodać odwagi, bo w żadnym wypadku nie mógłby użyć broni. Ogarnęła go taka wściekłość na samego siebie za własną niemoc, że odzyskał siły i zbliżył się do wroga.

Ale wściekłość opuściła go równie nagle, jak przyszła, zaciśnięte pięści rozwarły się — i Fabiano zakołysał się niezdarnie niczym kaczka, całym jakby zwiotczalym ciałem.

Chwyciwszy się catingeiry jak deski ratunku, policjant połową swej postaci był już schowany za drzewem — Fabiano widział tylko część jego twarzy, jedną nogę i jedną rękę i ten ułamek człowieka zaczął mu rosnąć w oczach. A reszta jego ciała, ukryta za drzewem, musiała być jeszcze większa. Fabiano próbował otrząsnąć się z tego dziwnego wrażenia.

— Jakie to czasem głupstwa przychodzą człowiekowi na myśl.

I zimny pot go oblewał. Kilka minut przedtem miał pustkę w głowie, ale teraz zaczęły go oblegać różne nie-miłe wspomnienia. Zawsze odznaczał się gwałtownością, mało mu było potrzeba, aby wybuchnąć. Tak, był prostakiem, który czasem wpadał w złość — zawsze źle wychodził na tym. Tego pamiętnego popołudnia na przykład, gdyby nie stracił cierpliwości i ordynarnie nie zwymyślał władzy, brzydtko wypominając matkę, nie zostałby obity i nie spędziłby nocy w celi aresztu. Dwóch potępieńców wpadło na niego, jeden walił go klingą szabli w piersi, drugi w plecy, a on czołgał się po ziemi i trzął się jak oskubany kurczak. A to wszystko dlatego, że złość go ogarnęła i brzydkie słowo wyrwało mu się nieopatrznie. Brak wychowania. Czy to jego wina? Zrobiło się zamieszanie na targu, starszy kazał rozejść się ludziom, którzy ich obstąpili wkoło, i krzyknął na niego: „Marsz

naprzód!“ A potem chłosta i areszt — przez takie głupstwo. Ale to nie on, Fabiano, wywołał tę awanturę. To jego zaczepili. No, może nie zaczepili? A kto postawił nogę w bucie na jego trepie? Zniecierpliwiał się wtedy i rzucił to nieprzystojne słowo. Wiadomo, że wypomnieć komuś matkę, to nic strasznego, bo przecież wszyscy wiedzą doskonale, że nikogo nie chce się przez to obrazić. To takie sobie tylko powiedzenie bez większego znaczenia. I ten chuderlak powinien był o tym wiedzieć. Nie wiedział. No i zagwizdał, i zrobił z tego wielką historię. Fabiano musiał wypić piwo, którego sobie nawarzył.

Zbliżył się o krok do catingeiry. Co by zrobił policjant, gdyby tak teraz Fabiano krzyknął na niego: „Odsuń się!“? Nie ruszyłby się, zostałby na miejscu jak przylepiony do tego drzewa. Niedołęga, można śmiało wypomnieć mu matkę. No, ale... jakże to?... Fabiano wydymał wargi i mruczał. To słabe stworzenie, to marne chuchro biło ludzi i pakowało ich do aresztu. Nie rozumiał tego. Gdyby to był ktoś zdrowy, silny, to co innego. W porządku. W ostateczności oberwać od rządu to jeszcze nie hańba i Fabiano czułby się nawet dumny na samo wspomnienie tej przygody. Ale coś takiego... Chrząknął kilka razy. Dlaczego rząd bierze takich mizeraków? Chyba, że boi się zatrudniać ludzi przyzwoitych. Ta zgraja służy tylko do tego, żeby dokuczać niewinnym. Czy on, Fabiano, byłby też taki podły, gdyby włożył na siebie mundur? Czy deptałby spokojnym wieśniakom po nogach i waliłby ich szablą? Nie, nie robiłby tego.

Zbliżył się wolniutko, okrążył drzewo i znalazł się naprzeciwko policjanta, który, osłupiały, nieruchomo przylgnął do pnia, mimo że miał przy sobie rewolwer i szablę. Fabiano czekał, żeby przeciwnik poruszył się. Był nędznym chudzielcem, to prawda, ale miał na sobie mundur i nie będzie przecież tak stał z wytrzeszczonymi oczy-

ma, z pobladłymi wargami, szczękając zębami, jak grzechotnik ogonem. Wyprostuje grzbiet, zacznie tupać nogami i krzyżeć, nadeptnie mu ciężkim butem na nogę. Fabiano chciał, żeby policjant tak zrobił. Gnębiła go nieznośnie myśl, że został wyłajany, obity, upokorzony przez podłego tchórza. Widział siebie w tym jego tchórzostwie jak w lustrze i czuł się jeszcze bardziej nędznym i godnym pogardy niż on.

Spuścił głowę, podrapał się w szczękę obrośniętą rudym włosiem. Jeśli policjant nie wyciągnie szabli i nie zacznie krzyżeć, to on będzie po prostu nieszczęśliwy.

Czyż ma się poddać tej trzęsącej się galarecie, temu poźółkłemu niedołędze? Był chłopem twardym, wytrzymałym i zadzierzystym. Lubił bijatyki — ileż to razy zwycięsko z nich wychodził. Wspomnił sobie dawne czasy młodości, wesołe hulanki z tańcami i wódką, z dziewczynami. Pewnego razu ze swym długim nożem w ręku sam jeden rozpędził całą bandę tańczących. Wtedy to pierwszy raz spodobał się sinii Vitorii. Zawsze był zabiaką. Czyżby stępniał z wiekiem? Ile może mieć lat? Sam nie wiedział, ale prawdopodobnie starzeje się i traci siły. Gdyby miał lustro, zobaczyłby, że ma już pełno zmarszczek i siwe włosy. Stary grat, rupieć! Nie czuł, jak zachodziły w nim te zmiany, ale to pewne, że zbliża się już jego koniec.

Ręce zwilgotniały mu od potu. No więc? Pocić się ze strachu przed takim zgniłkiem, co chowa się i drży? Czyż to nie jest prawdziwe nieszczęście, największe ze wszystkich nieszczęść? Prawdopodobnie już nigdy nie potrafi wybuchnąć, resztę życia spędzi nędznie, pokornie i cierpliwie. Jakże się człowiek zmienia! Tak. Zmienił się. Oto jest kimś innym, kimś zupełnie różnym od tego Fabiana, który dawniej tańczył z takim zapalem, że aż podnosił

za sobą tumany kurzu. Teraz ten inny Fabiano wart jest, by go bito i wtrącano na całą noc do aresztu.

Obrócił głowę w bok i wzrok jego padł na nóż. To nie jest nóż, to już do niczego nie jest zdatne.

Co takiego? Do niczego nie jest zdatne?

Kto mówi, że do niczego nie jest zdatne?

To jest prawdziwy nóż, który jak błyskawica spadał na liście kaktusów i ostów i naciał ich co niemiara. Ten nóż gotów rozłupać łeb nikczemnemu tchórzowi. Teraz leży sobie spokojnie w pochwie, teraz jest niepotrzebnym gratem, ale był jeszcze przed chwilą doskonałą bronią. I gdyby to wszystko razem przeciągnęło się jeszcze sekundę, policjant padłby zabity. Wyobraził go sobie leżącego na ziemi z rozkraczonymi nogami i wytrzeszczonymi gałami, z włosami zlepionymi czerwonym pasmem krwi, która powoli utworzyłaby ciemną plamę na żwirze ścieżki. Bardzo dobrze! Zaciągnąłby go w głąb catingi i oddał na pastwę urubu. I nie miałby wyrzutów sumienia. Położyłby się spokojnie razem z żoną na łóżku z drewnianych prętów. A na drugi dzień krzyczałby na synów, których trzeba przecież dobrze wychować. Bo jest mężczyzną, to oczywiste.

Wyprężył się, utkwiał wzrok w oczach policjanta, który odwrócił wzrok. Jest mężczyzną. Co za głupota myśleć, że stracił już siły i męstwo i przez resztę swego życia będzie pokornym niedołęgą. Stracił siły i męstwo? Nie stracił. Ale po cóż zgładzać tego cherlaka, pod którym uginają się nogi ze strachu i który tylko czeka, by upaść? Zmarnować się przez tego niedojdę, który w mundurze wałęsa się po targu i napastuje biedaków! Otóż nie zmarnuje się, nie warto przez „takiego“ ściągnąć na siebie nieszczęścia.

Zawahał się przez chwilę i podrapał w brodę. Dużo chodzi po świecie takich nędznych stworzeń, ogromne mnóstwo jest na świecie takich słabych i podłych istot.

Poczuł jakiś wewnętrzny niepokój, odwrócił się i odszedł. Policjant, widząc, że przeciwnik uspokoił się i spokorniał, nabrał odwagi, pewnym krokiem posunął się naprzód i zapytał o drogę. A Fabiano zdjął z głowy skórzany kapelusz.

Zawsze co władza, to władza.

Zdjął z głowy skórzany kapelusz, zgarbił się i wskazał drogę wynędzniałemu policjantowi o poźółkłej twarzy.

Drzewo mulungu, rosnące przy wodopoju, było teraz stale pokryte przelotnym ptactwem. Zły to znak: prawdopodobnie z głębi kraju ciągnie żar. Ptaki przylatywały całymi stadami, przysiadały na drzewach nad brzegiem rzeki, odpoczywały, gasiły pragnienie u wodopoju, a ponieważ w okolicy nie znajdowały nic do jedzenia, odlatywały dalej na południe. Fabiano i sinia Vitoria, przerażeni perspektywą zbliżającej się powtórnie klęski, miewali dręczące, niespokojne sny. Słońce wysuszyło studnie, a te piekielniki wypijały resztę wody, chciały zabić bydło.

Tak powiedziała sinia Vitoria, ale Fabiano zmarszczył czoło i zamruczał coś niechętnie, uważając, że to myśl niedorzeczna. Żeby ptaki mogły zabijać woły i kozy — słyszał to kto o czymś podobnym? Spojrzał na żonę podejrzliwie — ona chyba bredzi. Wyszedł na ganek, usiadł na ławce i obserwował czyste i jasne niebo, przecięte jedynie czarną smugą lecących ptaków. Ta jasność nie zapowiadała nic dobrego! Żeby skrzydlate stworzenie mogło zabijać bydło? Prawdopodobnie sinii Vitorii pomieszało się coś w głowie.

Fabiano wydał wargi i zmarszczył się jeszcze bardziej, wystąpiły mu krople potu na czoło: w żaden sposób nie mógł pojąć, o co żonie chodziło. Nic nie rozumiał. Takie małe stworzonka! Uważał, że to sprawa bardzo ciemna,

i zrezygnował z roztrząsania jej. Wszedł do izby, wziął torbę myśliwską, przygotował sobie papierosa, skrzesał ognia i zaciągnął się kilka razy. Kolejno przyglądał się wszystkim czterem stronom horyzontu, najdłużej stał zwrócony twarzą na północ, drapiąc się przy tym w brodę.

— Oj! To koniec świata!

Nie zostaną tu długo. W złowrogiej ciszy rozlegał się tylko szum skrzydeł.

Jak to sinia Vitoria powiedziała? Jej słowa przypominały mu się teraz wyraźnie i nagle zjawilo się przed nim jasno ich znaczenie. Ptaki wypijały wodę. Dobrze. Bydło nie miało co pić i zdychało z pragnienia. No, tak. Ptaki zabijały bydło. To prawda. Gdy człek spokojnie rozważy jej słowa, to widzi, że tak jest, jak ona mówi, ale zrazu trudno połapać się, o co jej chodzi. Teraz dopiero Fabiano zrozumiał, co sinia Vitoria chciała powiedzieć. Roześmiał się, zadowolony i zachwycony jej sprytem. Taka kobieta jak ona to skarb. Nie od parady nosi głowę na karku, tak, tak. Z wszystkiego znajduje zawsze wyjście. No, bo jakże to: wykryć, że ptaki zabijają bydło! I naprawdę zabijają. O tej porze gałęzie mulungu rosnącego przy wodopoju, suche, bez kwiatów i liści, są całe pokryte ptakami.

Wzięła go ochota przyjrzeć się temu z bliska, wstał z ławki, przewiesił torbę przez ramię, poszedł do izby po skórzany kapelusz i strzelbę-skałkówkę. Przeszedł przez podwórko i idąc ścieżką prowadzącą w dół rzeki, pomyślał o Balei. Biedaczka! Sierść jej wypadła, w pysku pokazały się wrzody i rany, musiał ją zabić. Czy dobrze postąpił? Nigdy o tym nie myślał. Suka była przecież chora. Czyż mógł się na to zgodzić, żeby pogryzła chłopców? Czy miał narazić własne dzieci? To byłoby szaleństwo. Biedna Baleia! Potrząsnął głową chcąc pozbyć się tych myśli. To ta diabelska strzelba nasunęła mu przed oczy obraz Balei. Z pewnością strzelba. Przechodząc koło stosu kamieni od-

wrócił od nich wzrok: tu znalazł biedną psinę, sztywną, zimną, bez oczu — wyjadły je urubu.

Przyśpieszył kroku, wszedł na teren zalewowy i zbliżył się do wodopoju. Nad kałużą czarnej wody łopotały skrzydła; gałęzi mulungu zupełnie nie było widać, tak szczelnie obsiadły je ptaki. Zarazy! Kiedy się zjawiały gdzieś z głębi kraju, to już koniec: idzie za nimi susza. Bydło wyzdycha, bo uschną nawet kolczaste krzaki.

Westchnął. Co robić? Trzeba znowu uciekać, osiedlić się w innym miejscu i zaczynać życie na nowo. Złożył się i pociągnął za kurek nawet nie celując. Spadło na ziemię pięć czy sześć ptaków, reszta rozleciała się na wszystkie strony i ukazały się zeschłe gałęzie mulungu. Ale po chwili znowu obsiadły je ptaki — nie było temu końca.

Fabiano przygnębiony usiadł na brzegu wodopoju, pozwoli ładować skałkówkę drobnym śrutem; nie ubijał stemplem, chcąc, by strzał rozrzucił śrut jak najszerzej i zgładził jak największą ilość wrogów. Strzelił powtórnie — gałęzie znowu opustoszały, na ziemię spadło kilka ptaków, ale to nie sprawiło Fabianowi najmniejszej przyjemności. Starczy już mięsa na dwa czy trzy dni; gdyby miał jeszcze więcej śrutu, mógłby zaopatrzyć się w żywność na tygodnie, a nawet miesiące.

Pomyślał o wędrówce i wstrząsnął nim dreszcz przerażenia. Zbadał zawartość rożka z prochem i woreczka ze śrutem. Próbował łudzić się, wmówić w siebie, że nie zajdzie potrzeba wędrówki, jeśli on jej nie wywoła swymi złowieszczymi myślami. Zapalił znów papierosa. Zaczął cicho mówić do siebie, chcąc zmienić bieg myśli. Sinia Terta jest kobietą znaną w okolicy ze swej mądrości. Jak to było z tym obrachunkiem z dziedzicem? To jest rzecz, której on nigdy nie może zrozumieć. Te jakieś procenty wszystko pochłaniają i w końcu biały człowiek uważa, że jeszcze robi mu łaskę. Policjant — chuchro...

Fabiano, wściekły, zacisnął pięści i kułakami zaczął walić się po udach. Co u diabła! Wysila się, żeby zapomnieć o jednej klęsce, a tu cisną mu się do głowy wspomnienia innych niepowodzeń. Nie chce myśleć ani o panu, ani o chuderlawym policjancie. Ale nie może nie myśleć o nich i to go doprowadza do rozpacz. Skręcił się w sobie jak podrażniony grzechotnik. Czuł się nieszczęśliwy, uważał, że jest najnędzniejszym stworzeniem na świecie. Powinien był tego pamiętnego popołudnia przebić nożem chuderlawego policjanta, powinien był go dobrze pokieroszować. A on, podły tchórz, głupi Mulat, zląkł się i nawet drogę mu pokazał. Otarł z potu zmarszczone czoło. Po cóż przypominać sobie ten wstyd? Nieszczęsne z niego stworzenie. Czyż do końca życia tak będzie cierpiał? Nikczemny niedołęga. Gdyby był inny, gdyby miał w sobie dość siły, przystałby do bandy rozbójników i żyłby z grabieży. I albo zginąłby od kuli z zasadzki, albo zestarzałby się w więzieniu, odsiadując karę, ale jedno i drugie byłoby lepsze niż śmierć z pragnienia i głodu gdzieś na drodze, wśród skwaru, razem z żoną i dziećmi. Powinien był przeświadować szyję tego chuderlaka ostrym końcem noża, wolno, wolniutko. Może zostałby uwięziony, ale zasłużyłby wtedy na szacunek, okazałby się prawdziwym mężczyzną. A teraz nikt nie może go szanować. Nie jest mężczyzną, nie jest niczym. Obili go szablami, a on się nie zemścił.

— Wstydz się, Fabianie, mój chłopie! Miejże odwagę i zabij policjanta-cherlaka. Ci policjanci o pożółkłych twarzach to nędznicy, których powinno się zgładzić. Zabij policjanta-cherlaka i pozabijaj także tych, którym on służy.

Zmęczył się, bo mówił energicznie i gestykulował z wściekłością. Zaczerpnął tchu. Po spalonej od słońca, czerwonej twarzy ciekły strumyki potu i spływały na brodę, która wydawała się przez to ciemniejsza. Poczul piekące pragnienie. Zeszedł na dół do wodopoju, kucnął,

zaczepnął w obie dłonie niesmacznego płynu i pił chciwie, chlepcząc głośno. Chmura ptactwa zerwała się przerażona. Fabiano podniósł się i poprowadził za nimi wzrokiem pełnym oburzenia.

— Przeklęte ptaszyska!

I wściekłość jego zwróciła się znowu przeciwko nim. Usiadł na brzegu wodopoju i strzelił kilka razy do gałęzi mulungu; ptasie ciała uślały ziemię. Posoli się je i rozwiesi na linach, aby się wysuszyły. Będą jedynym pożywieniem całej rodziny w przyszłej wędrówce. Pieniądze, które mu jeszcze pozostały, musi wydać na kupno śrutu i prochu, kilka dni spędzi tu jeszcze na polowaniu przy wodopoju, a potem pójdą w świat. Czyż naprawdę trzeba będzie wędrować? Choć wiedział doskonale, że jest to nieodzowne, czepiał się jeszcze jakiejś słabiutkiej nadziei. A może susza nie przyjdzie, może spadną deszcze. Najbardziej przerażały go te przeklęte ptaki. Starał się o nich zapomnieć. Ale jak mógł o nich zapomnieć, kiedy były tuż, tuż, fruwały naokoło jego głowy, ruszały się przy wodopoju, chmarami obsiadały gałęzie drzewa i leżały martwe na ziemi. Gdyby nie one, nie byłoby i suszy. Przynajmniej nie byłoby jej teraz: przyszlaby później, trwałaby krócej. A tak, to zacznie się już zaraz — Fabiano czuł ją z daleka. Czuł ją, jakby już tu była, przeczuwał jej straszne skutki: głód, pragnienie i potworny trud wędrówek. Kilka dni temu był jeszcze spokojny, naprawiał płoty, robił bicze i rzemienie. Nagle na tle nieba zjawiała się jedna kreska, potem wypłynęło ich kilka, potem tysiące, aż wreszcie połączyły się, tworząc całe chmury, i dał się słyszeć przerażający szum skrzydeł, wieszczący zagładę. Już od pewnego czasu Fabiano podejrzewał coś złego, widząc, jak wody wszędzie ubywa. Z niepokojem i trwogą przeżywał długie, bezlitosne, białe ranki i południa i złowrogą czerwień zachodów. Teraz potwierdziły się jego przypuszczenia.

— Podle ptaszyska!

To one, diabelski pomiot, sprowadzały suszę. Gdyby mógł pozabijać je wszystkie, zginęłaby i susza. Poruszył się gwałtownie i zaczął z wściekłością nabijać skałkówkę. Gdy ubijał stemplem, drżała mu ręka — wielka, owłosiona ręka, pokryta plamami i w wielu miejscach odarta ze skóry.

— Zarazy!

Nie, niemożliwe jest wytępić tę plagę. Spojrzał na pustą równinę, rozciągającą się wokół, i poczuł się zupełnie osamotniony. Sam jeden na świecie pokrytym skrzydłami ptaków, które go zjedzą. Przypomniała mu się żona i westchnął ciężko. Biedna sinia Vitoria, znów powędruje z blaszanym bau na głowie, znów będzie spędzała noce pod gołym niebem. Ciężko pomyśleć, że osoba tak rozsądna musi wędrować po spieczonej ziemi, raniąc sobie stopy na ostrym żwirze. Ptaki zabijają bydło. Jak sinia Vitoria wpadła na taką myśl? To bardzo trudne. On, Fabiano, nawet przy największym wysiłku nic podobnego nie mógłby wymyślić. Sinia Vitoria umiała dobrze rachować; siadała w kuchni na ziemi, układała przed sobą kupki różnych nasion: jedne wyobrażały milreisy, inne tostones, a inne jeszcze — rejsy; liczyła je, liczyła i zawsze dobrze utrafiła. Obliczenia, które pan pisał piórem, były inne, wynikała z nich zawsze jego, Fabiana, krzywda, ale Fabiano wiedział, że rachunki pana były fałszywe i że pan chciał go oszukać. I oszukiwał. A jaka na to rada? Fabiano, nędzny cham, przesiedział całą noc w areszcie, a plecy miał zdrętwiałe od razów. Mógł to się obronić? Nie mógł. Nędzny cham! Ale obliczenia sinii Vitorii z pewnością są prawdziwe. Biedna sinia Vitoria. Jedynym jej marzeniem jest wyciągnąć kości na porządnym łóżku. I pomyśleć, że nigdy nie będzie mogła tego zrobić... Czy inni ludzie nie śpiąją w łóżkach? Nie chcąc jej urazić Fabiano przytaki-

wał, choć wiedział, że to prawdziwe łóżko pozostanie na zawsze nieosiągalnym marzeniem. Nigdy nie będą mogli sypiać jak ludzie. A teraz w dodatku zjedzą ich te przekłete ptaki.

Zeszedł na dół w koryto rzeki, schylił się i powoli zbierał trupy ptaków, kładąc je do torby. Wkrótce wypchał nimi całą torbę. Ruszył wolno ku domowi. Będą jedli to ptactwo w drodze: on, sinia Vitoria i dwaj chłopcy.

Gdyby żyła Baleia, dopieroby się objadła! Dlaczego serce ściska mu się żalem? Biedna psina... Zabił ją, bo musiał; była przecież chora. Potem zajął się znowu swymi rzemieńcami, płotami, zawikłanymi rachunkami pana. W tym miejscu swych wspomnień Fabiano był już wysoko na pagórku, zbliżał się do juazeirów. Między korzeniami jednego z drzew biedactwo lubiła tarzać się, wstawiała potem cała pokryta cienkim chrustem i suchymi liśćmi. Fabiano westchnął, czuł ogromny ciężar na sercu. — A jeśli popełnił omyłkę? Rozejrzał się wokoło po spalonej równinie, powiódł oczami po sąsiednim pagórku, gdzie skakały prea i oznajmił całej tej okolicy i catingeirom rosnącym obok, że biedna suka miała wściekliznę, więc straszne niebezpieczeństwo groziło chłopcom. I dlatego ją zabił.

Tutaj myśli Fabiana zlały się w jedno: suka pomieszała mu się z ptactwem przelotnym, a to znów kojarzyło się z suszą. On, żona i dzieci zginą zjedzeni przez ptaki. Sinia Vitoria miała słuszność, była mądra i przewidująca. Fabiano szeroko otwierał oczy i chciał znowu wzbudzić w sobie zachwyty nad zaletami żony. Ale ciężko mu było na duszy, a serce miał wypełnione wspomnieniem Balei. Biedactwo — wychudzona, sztywna, nieruchoma... oczy wyżarte przez urubu.

Przechodząc koło juazeirów, Fabiano przyśpieszył kroku. Kto wie, czy nie błąka się tam jej dusza. A może mu się ukaze w postaci jakiejś zmory?

Doszedł do domu drżąc ze strachu. Ściemniało się i o tej właśnie porze zawsze czuł jakiś dziwny lęk. W ostatnim czasie spadło na niego tyle niepowodzeń, był zniechęcony i przygnębiony. Trzeba naradzić się z sinią Vitorią, przygotować się do wędrówki, zabezpieczyć resztę wody przed ptactwem i w ogóle wytłumaczyć się przed samym sobą, utwierdzić się w przekonaniu, że postąpił słusznie zabijając sukę. Należy bezwarunkowo wynieść się z tego przeklętego miejsca. Sinia Vitoria będzie z pewnością tego samego zdania.

Życie na fazendzie stawało się coraz trudniejsze. Sinia Vitoria co chwila żegnała się i drżącymi palcami przesuwała paciorki różańca, podczas gdy wargi jej rozpaczliwie szeptały modlitwy. Fabiano przesiadywał na ganku i skulony na ławce wpatrywał się w pożóklą catingę, w powykręcane, czarne, nagie konary zeschłych drzew. Suche liście, podnoszone powiewem gorącego wichru, wirowały wokoło w dzikim tańcu, by po chwili opaść na ziemię, starte w tym wirze prawie na proszek. Z niczym `nie zmaconego nieba znikły już ostatnie chmury przelotnych ptaków. Bydło powoli wymierało, zżerane przez pasożyty. A Fabiano wciąż jeszcze trwał uporczywie na miejscu, prosząc Boga o cud.

Aż wreszcie, gdy fazenda opustoszała i stało się jasne, że wszystko przepadło, Fabiano zdecydował się omówić sprawę z żoną. Zabił jedyne ciele, które im pozostało — parszywe i ledwie trzymające się na nogach — zasolił mięso i poszedł w świat z rodziną, nie zawiadomiwszy nawet o tym pana. Nigdy nie mógłby przecież spłacić tego olbrzymiego, niesprawiedliwie narzuconego mu długu. Jedyne, co mu pozostało, to iść gdzie oczy poniosą, niby Murzyn, który uciekł z niewoli.

Wyszli przed świtem. Sinia Vitoria przesunęła rękę przez dziurę w ścianie i zamknęła drzwi od wewnątrz na

zatyczkę. Było jeszcze ciemno. Przeszli przez podwórko, minęli otwarte furtki małego i dużego curralu — oba były puste. Tuż przy juazeirach stał rozeschnięty wóz — rozlatywał się w kawałki. Gdy doszli do stosu kamieni, gdzie chłopcy zwykli rzucać zabite węże, sinia Vitoria rozplakała się wspomniawszy Baleię, ale nikt nie widział jej łez, bo było jeszcze zupełnie ciemno.

Zeszli z pagórka, przecięli wyschłe koryto rzeki i skierowali się na południe. Powietrze było jeszcze rześkie, więc posuwali się rażno po wąskiej drodze, pokrytej drobnym żwirem. Szli w milczeniu — chłopcy na przedzie, z tłumoczkami zawierającymi ubrania i bieliznę, sinia Vitoria za nimi, niosąc na głowie bau z malowanej blachy i tykwę z wodą, na końcu szedł Fabiano z nożem kołyszącym się u boku, z cują na rzemyku u pasa; przez jedno ramię miał przewieszoną torbę myśliwską i strzelbę-skałkówkę, na drugim niósł worek z żywnością. Przeszli dobre trzy mile, zanim na wschodzie ukazał się wąski pas świetlny.

Zatrzymali się, by chwilę odpocząć. Fabiano złożył na ziemi worek i strzelbę, wyprostował się i spojrzał na niebo, dłońmi osłoniwszy oczy. Przywłókł się aż do tego miejsca, ciągle jeszcze nie chcąc wierzyć, że naprawdę znów rozpoczyna się ta straszna wędrówka. Ociągał się i wołał na chłopców, żeby nie szli tak prędko, że trzeba oszczędzać siły. A w rzeczywistości nie chciał zanadto oddalać się od fazendy. Do ostatniej chwili nie wierzył, że dojdzie do tego, aby byli zmuszeni ją opuścić. Wciąż odsuwał od siebie myśl o wędrówce. Przygotowywał się do niej powoli, niechętnie, to przesuwał termin, to znów zbierał się do drogi; zdecydował się ostatecznie na wyjście wtedy dopiero, kiedy nie ulegało już żadnej wątpliwości, że wszystko zostało stracone. Czyż mógł nadal żyć na cmentarzu? Nic go nie

trzyma na tej zeschniętej, stwardniałej ziemi, znajdzie gdzieś lepszą, miększą, by sobie grób wykopać. Tak mówił, ale myśl jego błądziła koło tych rzeczy, które zostawił za sobą; czepiała się starego konia, wiernego towarzysza, klaczy-kasztanki, catingeirów, garnków z piołunem, kamieni paleniska, łóżka z drewnianych prętów, ogrodzeń, które wymagały naprawy. Na wspomnienie tego wszystkiego nagle niemoc podcinała mu nogi — milkł w ciemności nocnej odgłos jego kroków. Czyż koniecznie trzeba było porzucić? I znów zaczynał skrzypieć żwir pod trepami.

Teraz Fabiano obserwował niebo, przyglądał się bacznie czerwonej listwie, która barwiła wschód, i jeszcze nie chciał się dać przekonać rzeczywistości. Starał się usilnie znaleźć coś, co by różniło się od tego czerwonego koloru, którym co dzień krwawiło się niebo o świcie. Serce biło mu mocno i trzęsły się grube ręce, które trzymał pod rondem kapelusza, by lepiej osłonić oczy od blasku.

Ramiona opadły mu ruchem pełnym zniechęcenia.

— To już koniec...

Przedtem, zanim jeszcze spojrział na niebo, wiedział doskonale, że jest z jednej strony czarne, z drugiej — koloru krwi i że stanie się niezadługo ciemnoszafirowe. Zadrzał w obliczu tego strasznego zjawiska.

Odkąd zobaczył pierwsze stada przelotnego ptactwa, nie zaznał spokoju. W ciągu dnia pracował nadmiernie, by zapewnić sobie sen w nocy. Ale podczas pracy nagle przechodził go dreszcz przerażenia, a w nocy budził się co chwila z rozpaczą w duszy i zwijał się w kłębek w kącie niewygodnego łóżka, po którym skakały pchły. Czuł nieuchronne zbliżanie się nieszczęścia i to spędzało mu sen z powiek.

Blask rósł rozszerzając się po równinie. I właściwie dopiero w tej chwili naprawdę zaczęła się wędrówka. Fabiano, jak gdyby teraz nagle zauważył obecność żony i dzieci, schwycił z ziemi strzelbę i worek z żywnością i ostrym wykrzyknikiem nakazał iść dalej.

Ruszyli pośpiesznie, jakby ich kto popędzał, a Fabiano prawie że deptał malcom po piętach. Zbudziło się w nim znowu wspomnienie Balei i dręczyło aż do bólu. Nie mógł się go pozbyć. Naokoło rozciągały się mandacaru i kaktusy — kolce, same kolce, wszędzie kolce. A tu jeszcze obraz Balei nie przestaje go nękać. Trzeba uciec od tej wrogiej roślinności.

Chłopcy prawie biegli. Sinia Vitoria poszukała wzrokiem różańca z białych i niebieskich paciorków, schowanego między piersiami, ale przy tym ruchu o mało nie spadła jej z głowy blaszana bau. Wyprostowała się i poprawiła ją, poruszając wargami w cichej modlitwie. Pan Bóg nie wypuści niewinnych ze swej opieki. Nagłe wzruszenie owładnęło sinią Vitorią, poczuła słabość w całym ciele. Ale opanowała się, siłą woli chciała otrząsnąć się ze smutnych myśli i pogadać trochę z mężem. Zwykle porozumiewali się monosylabami. Sinia Vitoria nigdy nie miała kłopotu z wyrażaniem swych myśli, ale teraz ścisnęło ją w gardle i nie była zdolna nic z siebie wykrztusić. Poczowała się samotna, opuszczona w tej ciszy, która panowała dokoła, łaknęła jakiejś pociechy, potrzebowała, by ktoś dodał jej odwagi.

Musi usłyszeć jakiś dźwięk, bo ten ranek bez ptaków, bez zieleni, bez najmniejszego powiewu ciąży jej jak milczenie śmierci. Krwawa listwa na wschodzie już znikła, rozwiała się w błękitie niebieskiego sklepienia. Sinia Vito-

ria czuje nieodpartą potrzebę mówienia. Jeśli będzie nadal milczała, stanie się jak te krzaki mandacaru, które schnąc umierają. Miała ochotę zawołać, krzyknąć, że czuje się silną, że ten straszny żar, te drzewa o nagich, obumarłych gałęziach, że ten bezruch i to kamienne milczenie wokoło — nic nie znaczą! Pragnęła oszukać samą siebie. Przysunęła się do Fabiana szukając u niego ratunku, chcąc mu nawzajem być podporą i pociechą i zapomniała na chwilę o tych strasznych rzeczach, składających się na terażniejszość — o ptakach, które wypłyły wodę, o kolcach, które stanowiły jedyną roślinność na ich drodze, o urubu, które czuły padlinę. Zaczęła mówić o przyszłości, mieszając ją z przeszłością. Czy nie mogliby znowu stać się tym, czym byli?

Fabiano zawahał się z odpowiedzią i coś mruknął, jak to robił zwykle, gdy rzucano mu pytanie, którego nie rozumiał. Ale był zadowolony, że sinia Vitoria zaczęła rozmowę. Czuł rozpacz w duszy i worek z żywnością oraz torba myśliwska zaczynały mu ciążyć nadmiernie. Nagle sinia Vitoria odezwała się, a Fabiano zamyślił się, co jej odpowiedzieć, i pół mili przeszło mu niepostrzeżenie. W pierwszej chwili chciał odrzec, że przecież są tacy sami, jak byli dawniej; ale zastanowiwszy się doszedł do przekonania, że jednak zmienili się, są starsi i słabsi. Więc rzeczywiście stali się inni niż dawniej. Sinia Vitoria powtórzyła pytanie. Czy nie byłoby dobrze znów zacząć żyć tak jak dawniej, tam gdzieś daleko, daleko stąd? Fabiano pokręcił głową, niezdecydowany. Może byłoby dobrze, a może i nie. I zaczęli szeptem prowadzić długą rozmowę, pełną niedomówień i nieściśłych określeń, przerywając ją co chwila i często powtarzając jedno i to samo. Żyć tak,

jak żyli dawniej w małym domku, tuż przy kieracie pana Tomasa. Rozprawiali o tym, rozprawiali i doszli do przekonania, że to nie byłoby dobrze, bo żyliby w ciągłym strachu przed suszą. Teraz zbliżając się do okolic zamieszkałych, muszą tam znaleźć miejsce i dla siebie. Nie będą przecież ciągle wędrowali jak Cyganie. Fabianowi przyszło na myśl, że może tam, dokąd idą, nie będzie bydła, więc co on — vaqueiro — będzie robił? Sinia Vitoria starała się uspokoić go, mówiąc, że może przecież dostać jakieś inne zajęcie, a Fabiano poczuł nagle zimny dreszcz, odwrócił się i spojrzał w kierunku opuszczonej fazendy. Stały mu przed oczami jej zwierzęta, wynędzniałe i pokaleczone, lecz natychmiast odsunął od siebie to bolesne wspomnienie. Na co zda się rozmyślać o tym, co minęło? Zwierzęta pozdychały. Zaczął mrugać powiekami, chcąc powstrzymać cisnące mu się do oczu łzy rozrzewnienia, głęboka tęsknota owładnęła nim i ścisnęła mu serce skurczem dotkliwego bólu, ale po chwili zarysowały się przed nim te inne, przykre wspomnienia: znienawidzone postacie pana i policjanta o pożółkłej twarzy oraz zimne, sztywne ciało biednej Balei, leżące przy stosie kamieni na końcu podwórka.

Chłopcy znikli za zakrętem drogi. Fabiano przyspieszył kroku, by ich dogonić. Trzeba wykorzystać chęć malców do prędkiego poruszania się, niech idą tak szybko, jak im się podoba. Sinia Vitoria podążyła za mężem i zrównała się także z synami. Za zakrętem Fabiano doznał wrażenia, że przebyta droga odcięła go już trochę od tych miejsc, gdzie przeżył kilka lat; postaci: pana, wynędzniałego policjanta i biednej Balei straciły swą bolesną ostrość w jego wspomnieniu.

Znów potoczyła się rozmowa. Teraz już Fabiano uspokoił się i poczuł, że ogarnia go nastrój niemal optymistyczny. Poprawił sobie na ramieniu worek z żywnością i spojrział uważnie na mięsistą twarz i grube łydki żony. Dobrze. Chciało mu się zapalić, ale musiał odmówić sobie tej przyjemności, ponieważ obie ręce miał zajęte: jedną przytrzymywał worek, a drugą — kolbę strzelby. Nie chciał przystawać, by nie opóźnić wędrówki. Więc dalej pomrukiwał ciągnąc rozpoczętą rozmowę, przy tym potrzasał od czasu do czasu głową, by odpędzić jakiś gęsty opar, zasłaniający mu pole widzenia; za tym oparem — widział to doskonale, gdy pozwolił mu się zbliżyć — kryli się: pan, policjant-chuchro i Baleia. Na stopach o zgrubiałej skórze, twardej jak kopyta końskie, miał nowe sandały — będzie w nich mógł chodzić całymi miesiącami. A może nie będzie mógł? Sinia Vitoria uważała stanowczo, że będzie mógł. Fabiano uśmiechnął się na to z zadowoleniem, spojrział z uznaniem na grube łydki, na szerokie biodra i obfite piersi sinii Vitorii i powiedział kilka słów pochwały dla jej urody. Sinia Vitoria zarumieniła się, a Fabiano z zapalem powtórzył komplement. Tak. Dobrze wygląda, jest nabita w sobie, może wytrzymać długą drogę. Sinia Vitoria roześmiała się i spuściła oczy, zawstydzona. Nie jest jednak tak dobrze, jak on uważa, nie! Wkrótce na pewno schudnie, piersi jej opadną. Ale po trochu znów przyjdzie do siebie. A może to miejsce, dokąd idą, będzie lepsze niż te wszystkie, w których żyli dotychczas... Fabiano wydał wargi z powątpiewaniem. Dlaczegoż nie mieliby stać się ludźmi, spać na takim samym łóżku jak pan Tomas od kieratu? Fabiano zmarszczył czoło: znów te niedorzeczności. Ale sinia Vitoria nie dała za wygraną i w końcu

wzięła nad nim górę. Dlaczego mają być zawsze upośledzeni, dlaczego mają całe życie wędrować po catindze jak zwierzęta? Z pewnością na świecie jest dużo rzeczy nadzwyczajnych. Czyż muszą zawsze żyć w ukryciu jak dzikie zwierzęta? Fabiano zaprzeczył.

— Świat jest wielki.

W rzeczywistości dla nich był bardzo mały, ale twierdzili, że jest wielki — i szli dalej w ten świat nieznany, na wpół ufni, na wpół niedowierzający. Spojrzeli na chłopców, którzy patrzyli na dalekie góry, zamieszkałe przez jakieś tajemnicze stworzenia. — O czym oni myślą? — szepnęła sinia Vitoria. Fabiana zdziwiło to pytanie. — Dzieciak nic nie myśli, za mały — chrząknął w odpowiedzi. Ale sinia Vitoria ponowiła pytanie i Fabiano zachwiał się w swej pewności. To jednak musi być tak, jak ona mówi. Ona zawsze ma słuszość. A teraz znów pyta, co malcy będą robili, gdy dorosną.

— Zostaną vaqueirami — zawyrokował Fabiano.

Sinia Vitoria zrobiła pogardliwą minę i potrząsnęła głową przecząco, nie bacząc na to, że przy tym ruchu blaszane bau może spaść na ziemię. Niechże ich Najświętsza Paniienka wybawi od takiego nieszczęścia. Co za myśl! Oni mieliby zostać vaqueirami? Ach, nie! Tam, w tych stronach dalekich, dokąd teraz idą, zapomną o catindze z jej wyschniętymi rzekami, o tej smutnej równinie, przerywanej niskimi pagórkami, gdzie pełno żwiru i kolców, i urubu, gdzie mrą zwierzęta i ludzie. Nigdy tu już nie wrócą, oprą się tej tęsknocie, która jak choroba zżera ludzi z catingi, przeniesionych w żyzne okolice, pełne bujnej roślinności. Czyż oni mają tak jak bydło schnąć z braku kolczastej paszy? Osiedlą się gdzieś bardzo daleko stąd i przy-swoją sobie inne zwyczaje.

Fabiano słuchał w zachwycie marzeń żony, zapomniał o tym, co dźwiga, zgarbił się, by iść wygodniej, i nagle worek z żywnością zsunął mu się z ramienia. Wyprostował się, podrzucił ciężar na dawne miejsce. Przeszli dobrych kilka mil i nawet tego nie zauważyli pochłonięci rozmową. Ale teraz nagle ogarnęło ich zmęczenie, naszła ich jakaś słabość. To z pewnością głód się odezwał. Fabiano podniósł głowę i zamrugał powiekami spod ronda kapelusza czarnego od potu i spalonego przez słońce. Południe mniej więcej. Spuścił oczy prawie osleplę od blasku i rozejrzał się po równinie szukając cienia lub jakiegokolwiek znaku, że gdzieś w pobliżu jest woda. Czuł teraz, że głód szarpie mu wnętrzności. Znow poprawił sobie worek na ramieniu, szedł dalej, pochylony na bok z jednym opuszczonym ramieniem, by lepiej utrzymać ciężar w równowadze. optymizm sinii Vitorii przestał już robić na nim wrażenie. Ona jeszcze czepia się jakiejś niedorzecznej nadziei. Biedactwo! Snuć takie plany, gdy ciężar blaszanej bau i tykwy z wodą wciska jej szyję pomiędzy ramiona, a nogi niedługo pewnie odmówią posłuszeństwa.

Usiedli pod drzewem, które rosło nie opodal, wznosząc ku górze nagie, zeschnięte, czarne konary, i posilili się paroma kawałkami mięsa, osypanymi kukurydzaną mąką. Potem każde wypilo po kilka łyków wody. Po czole Fabiana spływały krople potu, mieszały się z kurzem, który osiadł w jego głębokich zmarszczkach i wsiąkał w rzemień od kapelusza podpięty pod brodą. Osłabienie przeszło, pierwszy głód został zaspokojony. Kiedy ruszą dalej w drogę, cuja nic będzie już ciążyła sinii Vitorii. Instynktownie rozejrzał się po pustkowiu, szukając jakiegokolwiek śladu niedalekiej obecności źródła. Wstrząsnął go

zimny dreszcz, obnażył brudne zęby w dzieciennym uśmiechu. Skąd to uczucie nagłego zimna przy takim upale? I przez chwilę patrzył z tym głupkowatym uśmiechem na dzieci, żonę i manatki rozłożone na ziemi. Starszy chłopiec z apetytem ogryzał kość. Fabianowi stanęła Baleia przed oczami, znów zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, głupi uśmiech zamarł na wargach.

Gdyby gdzieś tu blisko znaleźli wodę, napiliby się do woli i szliby dalej, opici, leniwi, wlokąc nogi za sobą. Fabiano zwrócił się do żony, powiedział jej o tym i wskazał małe zagłębienie w gruncie. Tam powinna być woda, prawda? Sinia Vitoria wydeła powątpiewająco dolną wargę, ale Fabiano gwałtownie potwierdził swe przypuszczenie. Jak to — czyż nie zna tych okolic? Czy mówi na wiatr? Gdyby żona mu przytaknęła, Fabiano byłby zachwiał się w swym przypuszczeniu, bo nie miał najmniejszej pewności, ale ponieważ sinia Vitoria powątpiewała, Fabiano uniósł się i z zapalem próbował ją przekonać i natchnąć nadzieją. Więc wymyślił sobie, że zna tu jedno miejsce, gdzie jest woda, opisywał je, kłamał, nawet już nie zdając sobie sprawy, że kłamie. A sinia Vitoria, podniecona, przytakiwała mu, pełna nadziei. Wędrują po znanej okolicy. Na czym bowiem polegała praca Fabiana na fazendzie? Doglądał bydła, na grzbiecie końskim przemierzał catingę wzdłuż i wszerz. I dokładnie zbadał całą okolicę. Tam, z drugiej strony tych dalekich gór, jest inny świat, pełen dziwów, może nawet straszny, ale tu bliżej, na równinie, Fabiano wszystko zna na pamięć: zwierzęta, rośliny, kamienie i jamy w ziemi.

Chłopcy poukładali się koło tobołków i usnęli. Sinia Vitoria poprosiła męża o krzesiwo i zapaliła fajkę. Fabiano

skręcił sobie papierosa. Na razie byli uspokojeni. Woda, istniejąca jedynie w wyobraźni Fabiana, stała się dla nich rzeczywistością. I znów zaczęli szeptem snuć plany, a dym fajki mieszał się w powietrzu z dymem papierosa. Fabiano rozciągał swoje wiadomości topograficzne, potem wspominał konia z fazendy. Z pewnością zdechnie, szkoda — takie dobre zwierzę. Gdyby go zabrali ze sobą, niósłby na grzbiecie cały ich bagaż. Przez jakiś czas musiałby żywić się suchymi liśćmi, ale za górami znalazłby zielonej paszy pod dostatkiem. Na nieszczęście, należy do pana — i teraz zmarnieje, biedaczysko, nie ma nikogo, kto by mu dał codzienną porcję jadła. Umrze z wycieńczenia, pokryty ranami i wrzodami, legnie bez sił gdzieś w kącie podwórka i gasnącym wzrokiem będzie widział urubu, zbliżające się ku niemu w niezgrabnych podskokach z dziobami wymierzonymi wprost w jego oczy. Na samo wspomnienie tych strasznych ptaków, ostrymi dziobami grożących oczom żywych jeszcze stworzeń, dreszcz przerażenia wstrząsnął Fabianem. Gdyby miały cierpliwość, żarłyby sobie spokojnie padlinę. Ale one nie chciały cierpliwie czekać, te żarłoczne drapieżniki, które latają tam w górze zataczając koła.

— Zarazy!

Latają bez przerwy, nie wiadomo skąd bierze się tyle tych urubu.

— Zarazy!

Spojrzał na ruchome cienie, rysujące się na równinie. Może tam wirują nad podwórkiem naokoło biednego konia, który leży w kącie bez sił. Oczy Fabiana napękały się łzami. Biedne konisko! Chude, wyleniałe, a oczy ma zupełnie takie jak człowiek.

— Zarazy!

Najbardziej oburzał Fabiana ohydny zwyczaj, jaki mają te podle ptaszyska: wydziobują oczy stworzeniom, które nie mogą się już bronić. Na samą myśl o tym zerwał się z ziemi, przerażony, jakby drapieżniki zniżyły swój lot spod niebieskiej kopuły i krążyły tuż ponad ziemią nisko, coraz niżej, zataczając za każdym razem coraz to mniejsze koło nad jego ciałem, nad ciałem sinii Vitorii i chłopców.

Sinia Vitoria zauważyła bolesny wyraz niepokoju na udręczonej twarzy męża, więc wstała także, obudziła malców i zebrała porozkładane rzeczy. Fabiano podniósł z ziemi swój bagaż. Sinia Vitoria wzięła cuję z rzemyka, który był przyczepiony do jego paska, i umieściła ją do góry dnem na głowie starszego chłopca, rozścielając krążek z gałganków. Na wierzchu położyła tobolek. Fabiano patrzył na to uśmiechając się z uznaniem i zapomniał o urubu i o koniu. Co za kobieta! W ten sposób jemu będzie lżej, a mały zyskał osłonę od słońca. Ciężar cui był nieznaczny, ale Fabiano uważał, że mu bardzo ulżyło i pewnym krokiem ruszył ku wodzie. Dojdą do niej przed zapadnięciem nocy, napiją się porządnie, odpoczną i będą szli dalej o księżycu. Wszystko to było wątpliwe, ale miało stać się rzeczywistością. I znów zaczęli rozmowę, podczas gdy słońce zniżało się ku zachodowi.

— Ten kawałek słoniny, który zjadłem, był porośnięty szczecina — powiedział Fabiano, jakby rzucając wyzwanie niebu, kolcom catingi i urubu.

— Naprawdę... — szepnęła sinia Vitoria, nie w formie pytania jednak, lecz potwierdzając słowa męża.

Powoli, niepewnie próbowali naszkicować sobie obraz nowego życia. Osiedlą się na małym kawałku ziemi. Nie bardzo podobało się to Fabianowi, przyzwyczajonemu do

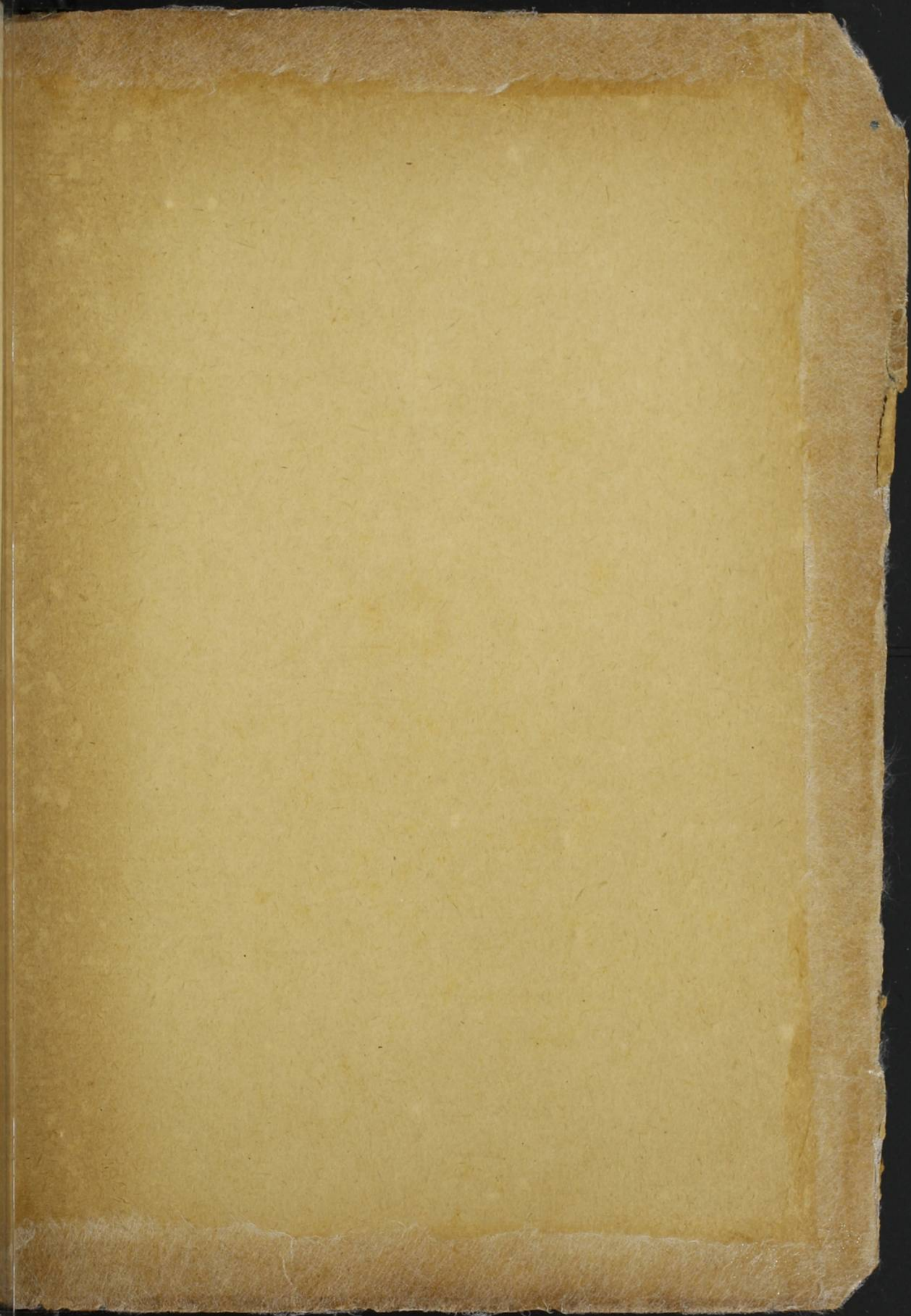
szerokiej przestrzeni. Będą uprawiali tę ziemię. Potem przeniosą się do miasta i chłopcy pójdą do szkoły, wyrosną na innych ludzi niż oni. Sinia Vitoria snuła plany pełna zapału. Fabiano roześmiał się, chciało mu się bardzo zatrzeć ręce, ale obie miał zajęte: w jednej trzymał kolbę strzelby, a drugą przytrzymywał worek na plecach.

Nie czuł ciężaru worka i strzelby, ugniatających mu ramiona, nie czuł drobnych kamyków, które wchodziły mu do sandałów, nie czuł smrodu padliny, która zatruwała powietrze nad równiną. Słuchał zachwycony słów sinii Vitorii. Pójdą daleko, dojdą do tej nieznannej ziemi. Fabiano był zadowolony, bo wierzył w tę ziemię, a wierzył, bo nie wiedział, ani gdzie ona jest, ani jaka jest. Powtarzał posłusznie za sinią Vitorią słowa, które ona szeptała mu, bo wierzyła w niego. I tak, snując marzenia, szli dalej na południe.

SPIS TREŚCI

	Str.
WSTĘP , ,	5
WĘDRÓWKA	9
FABIANO	18
W ARESZCIE	28
SINIA VITORIA	40
MŁODSZY CHŁOPIEC	48
STARSZY CHŁOPIEC	55
ZIMA , ,	62
BOŻE NARODZENIE	70
BALEIA	83
ROZRACHUNKI	90
POLICJANT-CHUCHRO	98
ŚWIAT ZASŁANY SKRZYDŁAMI	106
UCIECZKA	114

00359a



Czytelnik

CZY
TEL
NIK